Nr. 40. Poznań, Niedziela 30go Grudnia 1894 r. Rok I.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Przegląd Poznański" wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna wynosi w Poznaniu 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), w Niemczech i Austryi 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedynczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

Czas odnowić przedpłatę!

„Przegląd Poznański" kosztuje kwartalnie na wszystkich pocztach cesarstwa niemieckiego i Austryi

3,75 mr.

w mieście Poznaniu, w ekspedycyi naszej, wraz z odnoszeniem do domu

3 mr.

we wszystkich innych krajach z przesyłką opaskową

4,00 mr.

„Przegląd Pozn." zapisany jest w księgach pocztowych Niemiec i Austryi pod lit. II. t. 86 a.

W roku 1895 zamieści „Przegląd Poznański" utwory pierwszorzędnych literatów polskich i obcych. Najwybitniejsi beletryści i uczeni poznańscy, warszawscy i krakowscy, bądź to już złożyli owoce pióra swojego w naszem biurku redakcyjnem, bądź też obiecali zasilać nas stale pracami swojemi; dla urozmaicenia treści „Przeglądu Poznańskiego" zaprowadzimy od Nowego Roku stałą rubrykę p. t. „Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego", a w odcinku ogłosimy interesujące powieści i nowelle literatury polskiej, norwegskiej, rosyjskiej, francuzkiej i niemieckiej. Każdy numer zawiera 12 obszernych stronnic druku, na których czytelnicy znajdą następujące rozdziały: 1) Polityka, 2) Sprawy ekonomiczne, 3) Literatura i sztuka, 4) Badania naukowe, 5) Szkoła i wychowanie, 6) Życie społeczne (Kronika krakowska, londyńska, warszawska, paryzka, wiedeńska i berlińska, życiorysy, ważniejsze wypadki z życia przemysłowego i handlowego, sprawy sądowe etc.), 7) Feljetony, omawiające w lekkiej formie sprawy potoczne i sporne kwestye natury politycznej lub etycznej, 8) Rozmaitości, 9) Krótkie notatki o nowych książkach, 10) Powieści, nowelle i poezye, 11) Stałe przeglądy prasy słowiańskiej i polskiej, 12) Recenzye teatralne p. t. „Z estrady i sceny" i wesołe pogadanki p. t. „Humorystyka teatralna".

„Przegląd Poznański" śmiało rywalizować może pod względem rozmaitości i treści materyału z najlepszemi tygodnikami warszawskiemi, a nie krępowany więzami cenzury przewyższa je stanowczo pod względem informacyjnym. To też wyrażając wdzięczność serdeczną za dotychczasowe poparcie, udzielone nam przez inteligencyę zaboru pruskiego, wstępujemy w rok nowy z głęboką wiarą, że koło czytelników naszych z dnia na dzień rozszerzać się będzie.

REDAKCYA.

TREŚĆ.

Oświata ludu.

II.

W dziale wydawnictw ludowych religijnej treści najgorliwszą czynność rozwija naturalnie nasza „Księgarnia katolicka". Jest mi zupełnie niewiadomem, czyją własnością jest to przedsiębiorstwo, kto niem kieruje i co stanowi jego działalności pobudkę, interes kupiecki, czy tendencye religijnej progagandy. Jedno lub drugie równie wydaje mi się możliwem, w każdym razie jednak trudno zaprzeczyć, że księgarnia katolicka stoi na gruncie zupełnie średniowiecznych pojęć, a do postępu i oświaty nie przyczynia się bynajmniej — przeciwnie, rzecby można, stawia im zapory jak najgrubsze.

Ktoby wydawnictw jej w ręku nie miał, temu przejrzenie samego katalogu wystarcza do wyrobienia sobie przybliżonego o jej kierunku pojęcia. Kilka tytułów przytoczymy na próbkę: „Przeraźliwe echo trąby ostatecznej", „Koniec świata", „Katownie więzienia piekielnego" do książki tej dodano obrazki illustrujące męki piekielne, — dalej: „Godzina śmierci, czyli leki na strachy śmiertelne, kto ich zażyje śmierci się bać nie będzie" itp. Nb. po przejrzeniu tej ostatniej książeczki dochodzimy do przekonania, iż przeczytanie jej raczej nowe, całkiem nieuzasadnione strachy obudzić może. Autor wywołuje uczucie grozy takiemi n. p. środkami jak rozpamiętywanie tej okropnej pierwszej nocy, w której człowiek zostaje sam na cmentarzu, w trumnie między trupami. Jest to pojęcie śmierci zupełnie zabobonne i pogańskie, niezgodne ani z religią chrześciańską, ani ze zdrowem, rozumnem zapatrywaniem oświeconych ludzi. Gdyby książka taka wyszła w Poznaniu przed Mieczysławem i Dąbrówką, stałaby może na poziomie ówczesnych wyobrażeń i w harmonii z uczuciami ludzi, którzy zmarłym na grobach uczty zastawiali, lecz wobec nauki chrześciańskiej, która pojmuje śmierć jako rozdział duszy z ciałem — rozmyślania takie w książce pobożnej dla ludu razić i oburzać muszą.

Nasuwają one przypuszczenie, iż autorowi nie o oświatę, lecz o zaciemnienie umysłów czytelników chodzi, że nie podnosić ich duchowy poziom, lecz obniżać go pragnie — skutek zaś jego pracy tylko w wysokim stopniu zgubnym być może. Im bliżej poznawamy lud i jego zwyczaje, tem gorliwiej podobnej lektury unikać dla niego będziemy, wiedząc, iż ona najsmutniejsze podtrzymuje przesądy. Lud nie tyle lęka się śmierci ile umarłych; pewna kobieta na wsi w obecności swego chorego męża opowiadała mi, jak bardzo się go będzie bała, kiedy umrze: „ja go się już teraz boję" dodała. Wykorzenienie takich strachów, jako też wiary we wszelkie pokutujące duchy, widma itp. — przyczyniłoby się niezmiernie do uszczęśliwienia szerokich mas, usuwając bardzo powszechną przyczynę cierpień. Nie ma już nawet co wspominać o tem, że moralność zyskałaby bardzo wiele, a i oświata skorzystałaby niemało na zastąpieniu przez zdrowe uczucia i pojęcia chorobliwych i wizyonerskich. W tejże księgarni polecają „Historyą o trzech Hostyach okropnie w 1399 r. przez żydów kłutych, z których krew przenajświętsza cudownie się lała". Do historyi, za której wiarogodność księgarnia poręcza, dodano 15 obrazków i bardzo wiele cudów. — Pytanie, jaką korzyść moralną czy umysłową przeczytanie tej książki przyniesie? Skutkiem najniezawodniejszym będzie rozbudzenie nienawiści do żydów, nienawiści i tak dość rozpowszechnionej u ludu, który nie może im darować męki Chrystusa Pana, a obecnie nie przestanie ich przeklinać za mękę trzech Hostyi. Rozbudzanie jakiejkolwiek nienawiści jest działaniem niechrześciańskiem i niehumanitarnem, na umoralnienie lub oświatę bynajmniej dodatnio oddziaływać nič może, — gorzej jeszcze,

gdy nienawiść wyrasta na gruncie fanatyzmu i idzie w parze z ciemnotą, wtedy bowiem nie ma dla niej ani hamulca, ani zapory. Jestto ślepa, elementarna siła, którą zbudzić łatwo, lecz trudno zażegnać. — Powoływanie do życia tego rodzaju żywiołów jest bardzo niebezpieczną lecz dość rozpowszechnioną u nas zabawką, a prędzej czy później przekonamy się o jej zgubnych skutkach. Zamiast rozjaśniać poglądy mas na warunki społeczne, wśród których żyją i na ich rzeczywiste dla kraju znaczenie, usiłujemy po prostu wyrabiać w nich ślepą ufność w jednym — również ślepą niechęć lub pogardę w innym kierunku, przyzwyczajając je do ulegania popędom, z których rozsądnie sprawy zdać sobie nie mogą. Do takich bezmyślnie potępianych i pogardą okrywanych żywiołów należy u nas socyalizm. Nie myślę bynajmniej rozstrzygać kwestyi, o ile pojawienie się jego wśród naszego ludu szkodliwem dla ogółu być może, w każdym razie walczyć z nim należałoby bronią uczciwą, stawiając mu zarzuty jedynie na rzeczywistym gruncie oparte, potępiając istotnie słabe strony tego kierunku, wykazując tylko realne niebezpieczeństwa, jakie za sobą pociąga. My tymczasem przedstawiamy go w postaci jakiegoś bajecznego smoka i budzimy przed nim strach, jak przed piekielnym potworem, rzucając gęstą zasłonę na jego naturalną postać. W księgarni katolickiej sprzedają zbiór piosenek, potępiających *pijaństwo-karciarstwo i socyalizm*, zestawienie dosyć osobliwe, w każdym razie zbyt śmiałe. Gdyby wszystkie partye polityczne przeciwników swych umieszczały w takiem towarzystwie, bylibyśmy zapewne bardzo zgorszeni tem nadużywaniem niewybrednej broni. Wystawmy sobie tylko, że wolnomyślni potępiają w jednej piosence oszustwo, chciwość i konserwatyzm, zachowawcy liberalizm, rabunek i rozpustę, a wtedy zdamy sobie sprawę z wrażenia, jakie z takiego postępowania ludzie światli i nie zaślepieni odnoszą. Należy nam zresztą patrzeć w przyszłość i przewidywać, co nastąpi, jeśli te masy, którym teraz socyalizm jako rzecz pokrewną różnym zbrodniom i występkom przedstawiamy poznają się z nim osobiście i o błędzie swym się przekonają. Czy nie zbudzi się w nich podejrzenie, że przed ich oczami prawdę ukrywaliśmy rozmyślnie? że fałszywe pojęcia poddawaliśmy im w naszym własnym interesie? Łatwiej jest bezwątpienia potępiać niż rozumować, łatwiej podburzać niż tłomaczyć i oświecać, ale zyskuje się na tem tylko na razie. Po dłuższej próbie, po upływie szeregu lat przekonywamy, się zawsze, że droga prawdy, droga sumiennej pracy jest najbezpieczniejszą, że tylko wtedy utrzymać można trwale szacunek i zaufanie ludzi, jeśli się go nie podstępem, lecz istotną zdobywa zasługą.

Do najbogatszych działów ludowego piśmiennictwa należy bezwątpienia dział historyczny. — Wynika to z owej tendencyi patryotycznej, o której mówiliśmy w poprzednim rozdziale. I tu jednakże niejednę należałoby zaprowadzić reformę, gdyż ilość bez porównania lepiej niż jakość się przedstawia. — Przy opowiadaniu dziejów naszych prostaczkom trzymamy się zawsze przestarzałej i mało pożytecznej metody zamykania historyi w szeregu anegdotek, których autentyczność nie rzadko kwestyonowaćby można. Obraz życia narodowego wychodzi z takiej przeróbki, bardzo zmniejszony, zdrobniały, zbagatelizowany — wielkie prawdy dziejowe zacierają się w nim, konsekwentne następstwo wypadków i ich przyczynowy związek zanika, przez co też kształcące znaczenie nauki zmniejsza się do minimum. Spotykamy się w książeczkach popularnych z takiemi twierdzeniami n. p., że Mieczysław przyjął chrześciaństwo dla tego, żeby mieć dzieci, co ostatecznie jako synowi poganina nie mogło mu się wydawać środkiem nieodzownym. W ten sposób przedstawiona zmiana tak donioslego znaczenia, fakt stanowiący epokę w życiu narodu i otwierający dlań nowe polityczne widnokręgi wygląda jak czysto prywatne zdarzenie familijnego życia, a wpływ jego na losy kraju zdaje się zupełnie przypadkowy. To tylko jeden przykład: w każdym podręczniku dla ludu znajdziemy ich tysiące. W panowaniu Bolesława Krzywoustego główną rolę gra bitwa na psiem polu — nawrócenie i podbój Pomorza ledwie zaznaczonem, znaczenie tej ziemi dla Polski przemilczanem bywa; powstanie stanu mieszczańskiego w Polsce wspomina się tylko przy okazyi krakowskiego buntu, itp. Słowem, wszystkie ważne przemiany wewnętrzne, ukształtowanie się stanów i warstw społecznych, cywilizacyjne warunki kraju, jako rzecz drugorzędną zbywa się nawiasowemi wzmiankami, główną zaś treść stanowią domowe sprawy królów i ich osobiste czyny, legendy, dykteryjki z ich życia, uczty, przyjęcia, wesela — wojny — itd. — Przypuszczenie, iż tylko takie właśnie wiadomości umysły proste zająć i utrwalić się w nich mogą, jest zupełnie nieuzasadnionem. Z własnego doświadczenia wiem, że można nietylko ludzi dorosłych z tej sfery lecz nawet i dzieci zainteresować żywo sprawami wiele ważniejszemi, że można im wyjaśniać i rozwój wewnętrzny narodu i jego stanowisko wśród europejskich ludów, naturalnie jeśli forma opowiadania będzie dość barwną, przystępną i popularną. — Wykład taki przynosi jeszcze tę ważną korzyść, że uczy czytelnika zastanawiać się i myśleć. Jeśli nauka jest suchem wyliczeniem różnorodnych a luźnych wypadków, to jedynie pamięć zapełnia i obciąża, jeśli zaś wykazuje logiczny związek przyczyn i skutków, wtedy rozwija zdolność konsekwentnego rozumowania, wysnuwania wniosków trafnych z pewnych danych i uzdalnia do samodzielnego myślenia. Potrzebą rozumu ludzkiego i największą dla niego rozkoszą jest myśleć, to też im lepiej nam się uda umysły naszych wychowańców w ruch wprawić — tem gorliwiej do dalszej oświaty garnąć się będą.

I. M.



POLITYKA.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Główny organ stronnictwa staroczeskiego „*Hlas Naroda*“ tak się rozpisuje o dymisyi Hurki.

„Generał Hurko otrzymał dymisyę. Jest to fakt posiadający znaczenie niezmiernie doniosłe. Dymisya Hurki rzuca światło na usposobienie cara w obec Polaków, a że car jest uosobieniem polityki rosyjskiej, więc z faktu tego wywnioskować należy, że rząd rosyjski wobec Polaków inne aniżeli dotychczas zajmie stanowisko. Hurko jest starcem 60 letnim fizycznie złamanym; jego działalność dodatnią i pożyteczność dla Rosyi upatrywać należy w zdolnościach wojskowych i czynach, które dokazał w czasie wojny rosyjsko-tureckiej. Powołany przez zmarłego cara na urząd gubernatora Królestwa Polskiego w roku 1883, przez cały szereg lat był prześladowcą ślepym żywiołu polskiego. Rządy swe zaznaczył brutalnością i okrucieństwami zniesławiającemi imię rosyjsko słowiańskie. Hurko nie wahał się używać środków najnikczemniejszych, prowakacyi najohydniejszych, aby Polaków przedstawić carowi jako rewolucyonistów niepoprawnych, których należy trzymać w karbach najsurowszych.

„Hurko nietylko, że prześladował każdy ruch narodowy, ale drażnił środkami najnikczemniejszemi Polaków i był w dosłownem znaczeniu tego wyrazu tyranem, przynoszącym wstyd i hańbę naszemu stuleciu.

---

3)

MARYA RODZIEWICZ.

RYNGRAF.

NOWELA.

(Ciąg dalszy.)

Otulony w płaszcz, mijał śpiący obóz, w głowie miał ćwiek, — wiercącą myśl ciężkiej troski.

Doszedł biwaku więźniów i stanął jak wryty. Oparty o głaz stał tam porucznik i wytężonym wzrokiem coś śledził w ciemności.

— Stachu! — krzyknął. Młodzieniec podskoczył i zrobił ruch taki, jakby chciał uciekać, ale pozostał. Fala krwi uderzyła mu do oczu — milczał.

— Gdzie straż?

— Odesłałem ich do snu!

— A jeńcy?

— Na swobodzie!

— Zdrajco!

— Milcz! Tyś sam winien! Jesteś półbóg, jeden z plutarchowych bohaterów, ja człowiek. Po naszej dzisiejszej rozmowie po coś mi dał taki rozkaz! Po coś mi dał pokutę nad siły! Kazałaś pilnować i rozstrzelać więźniów. Jeden był synem Alcada z El Pahul, przeprawia się do Marji. Tybyś zrobił, coś odemnie wymagał, ale mnie to nad siły! Za uratowane życie swoje byłem ich dłużnikiem. Poszli, a ja się czynu nie wstydzę.

Rozdraźniony dyszał gorączkowo.

— A jutro cię rozstrzelają jako zdrajcę!

— Niech i tak będzie! Skończę prędzej.

— A imię twoje przeczyta babka, siostra i narzeczona w dzienniku hańby! Takie im przyniesiesz wawrzyny, tak odbudujesz dom! Tak, tak! Połą płaszcza zakrył twarz i znużony rozpaczą zajęczał głucho.

Stach głowę zwiesił — nie bronił się już. Po chwili Konstanty podniósł czoło, wypogodzone, blade i uroczyste. Ręką wskazał obóz,

— Wracaj! rzekł. Jam winien, powiadasz! Babka kazała mi cię ochraniać, a jam naraził. Wracaj i pomyśl o nich w pokusie! Będziesz silny! Jam winien!

Przekonany, milczący, Stach spełnił rozkaz. Konstanty przeprowadził go wzrokiem aż na miejsce, a potem ruszył w przeciwną stronę. Przez płótno sztabowego namiotu światło błyskało, starszyzna radziła, przyjmowała i wysyłała kurjerów. Przeglądała mapy.

Kapitan się zameldował i wszedł do środka. Bez słowa odpasał szablę i położył na stole.

— Co to znaczy kapitanie? spytał pułkownik.

— Przychodzę po wyrok, jako więzień. — Zdano mi jeńców pod straż — jeńcy uszli.

— Co mówisz? Czyś oszalał! Ty, ty to zrobiłeś?

— Ja sam pułkowniku!

— Czekam waszych rozkazów...

Godzinę, krótką godzinę trwał sąd.

Po niej Konstanty wyszedł bez krzyża i galonów — znowu prosty szeregowiec. Prosił o kulę, ale głos się podniósł ogólny, że zbyt wiele położył zasług, by mu nie zostawić sposobu rehabilitacyi.

Zdegradowano go i kazano się poprawić. Nazajutrz Stach go ujrzał w szarej masie żołnierzy, salutującego porucznika przy lustracyi.

Krzyknął i oczy obłąkane wlepił weń, ale wtem zagrały trąbki — pułk ruszył.

W nocy porucznik, o złotych galonach, przyszedł do ułana, co, wysunięty na dalekiej placówce, stał jak z bronzu wykuty, cały zmieniony w słuch i wzrok. Rozmawiali długo, gwałtownie z razu, potem spokojnie, a tak cicho, że w ciszy tej przejrzystej nie rozległo się żadne zdradliwe słowo. Pierś oficera wstrząsało okropne łkanie żalu i wstydu, ulan coś mu szepnął, rozjaśniony nadzieją, rozpromieniony otuchą i wiarą w poprawę.

„Szczytem jego niegodziwości i beztaktu, był zakaz, aby deputacya polska nie brała udziału w pogrzebie zmarłego cara. Beztakt ten nakręcił mu karku. Hurko nie pozwolił na to, aby manifest młodego cara drukowano po polsku i nakazał odbieranie przysięgi w języku polskim. Deputacya polska, którą Hurko wyrzucił za drzwi udała się do Petersburga wbrew jego woli i została przez cara łaskawie przyjętą. Car swemi względami deputacyą wyszczególnił. Rozmawiał bowiem ze wszystkiemi deputacyami po rosyjsku, natomiast z deputacyą polską po francusku. Kazał sobie członków wszystkich przedstawić. To wyszczególnienie Polaków przez cara podziałało na prasę rosyjską. Jeszcze chciał Hurkę bronić ks. Meszczerski redaktor „Grażdanina“, atoli car dał redaktorowi poznać, że jest innego zapatrywania, więc „Grażdanin“ ton zmienił. Cały świat słowiański wyczekuje z najwyższem zaciekawieniem dalszego rozwoju rzeczy“.

* * *

Wychodzący w Ruszczuku „*Slawjanin*“ organ słowianofilów bułgarskich, pisze o Stojłowie.

„Upadek ministerstwa Stojłówa jest karą zasłużoną za fałsz i obłudę jaką prezes ministerstwa się odznaczał. Stojłow był ziomkiem Stambułowa, a wychowany w Austryi przejął się taką częścią bałwochwalczą dla tego, co niemieckie, iż wydawało mu się, niemożliwem, ażeby Bułgarya bez poparcia finansowego Austryi istnieć mogła.

„Stojłow oczerniał samego Koburga i posądzał go o rusofilizm. Karawełowa uwięzionego przez swego poprzednika nie wypuścił z więzienia, choć wiedział, że go niesprawiedliwie kazał Stambułow uwięzić. On to nie wpuścił do kraju Cankowa i unieważnił wybór posłów rusofilskich, choć wyborcy przeciw temu unieważnieniu zaprotestowali.

„Upadek Stojłowa jest dowodem, iż stronnictwo austro-niemieckie dłużej się przy rządach nie utrzyma, i jest koniecznością zrobić narodowi ustępstwa i liczyć się więcej aniżeli dotychczas z jego przekonaniami...

* * *

„*Narodni Listy*“ młodoczeskie taki sąd wydają o ruchu radykalnym wśród Rusinów galicyjskich:

„Ruch radykalny wśród Rusinów jest radykalnym jednostronnie, nie dotyczy on w niczem żądań narodowych, jest radykalnym na polu socyalno-ekonomicznem. Ruch ten jest przeszczepieniem haseł zachodu na grunt całkiem niepodatny, kopiowaniem niewolniczem idei obcych, innych potrzeb, wypływających z innych stosunków.

„Brak mu jest swojskości, pracy samodzielnej, niezbędnej dla rozwoju cywilizacyjnego każdego narodu. Ruch taki sztucznie przeszczepiony i wzięty żywcem zkąd innąd przyjąć się nie może, dla tego ruch radykalny wśród Rusinów, jakkolwiek tam każdy ruch wśród apatycznych mas musi być pożądanym, nie ma przed sobą przyszłości. Nie jest on niczem innem, jak objawem tej samej choroby, która się u nas pojawiła. Z ludu słowiańskiego tryska wszędzie zdrój orzeźwiający, ale inteligencya, za mało odporna, choruje. Mając to na uwadze, widzimy na radykaliźmie ruskim cień i dla tego ruchu tego bezwzględnie chwalić nie możemy.

* * *

W tygodniku czeskim „*Czasie*“, organie realistów czeskich czytamy:

„W Pradze istnieje 35 szkół ludowych czeskich, 15 niemieckich. Do pierwszych uczęszcza 15,392 dzieci, do drugich 9,341, pomiędzy temi 1,111 czeskich. Pomiędzy dziećmi uczęszczającemi do szkół niemieckich jest 1,728 żydów. Dla żydów więc przeważnie muszą być utrzymywane niemieckie szkoły ludowe. Kiedy dzieci niemieckich jest w szkołach czeskich tylko 0,1 procent, uczęszcza dzieci czeskich do szkół niemieckich 33 proc. Jest to objawem nader smutnym, świadczącym, iż dotychczas szkoła niemiecka nie została pozbawioną w mniemaniu wielu Czechów uroku wyższości ponad szkołami naszemi...“

* * *

Liberalne petersburskie „*Nowosti*“ tak odpowiadają pismom serbskim i bułgarskim na wycieczki przeciw ostatniemu wystąpieniu prof. Łamańskiego, potępiającemu, jak wiadomo słowianofilizm.

„Dzienniki południowo-słowiańskie potępiają Łomańskiego, że nazwał Donkiszoteryą wojnę rosyjsko-turecką. Dziwimy się Słowianom południowym, że nie mogą pojąć niechęci budzącej się przeciw nim w Rosyi. O przyjaźń Rosyi starają się Francya i Anglia, nie mające nic wspólnego z nami, jako Słowianami, ale czy to czynią Serbowie i Bułgarzy? Ślepymi są oni na los Polaków, jęczących pod jarzmem niemieckiem, na los Czechów, Łużyczan, Słowaków i Chorwatów! Ich ciągnie jakiś czar do Austryi, Bułgarzy jako Słowianie obierają księciem swoim Niemca, a Serbowie mają dynastyę wrogo dla Rosyi usposobioną. Pomiędzy Rosyą a Bułgaryą nie może być mowy o kompromisie, dopóki tam Niemiec panuje. Słowianie południowi naginają własnowolnie szyję pod jarzmo niemieckie.

D. K.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Praca kobiet i stowarzyszenia zawodowe.

I.

Zdawałoby się, że stary aksiomat, iż kobieta zawsze na kimś oprzeć się potrzebuje, wyrazić się był powinien nietylko w zakresie życia rodzinnego, ale i w dziedzinie zawodowej pracy, gdzie oparciem dla jednostki jest stowarzyszenie. Tymczasem stoimy dopiero w początkach ruchu stowarzyszeń wśród pracujących kobiet. Wystąpienia solidarne są dotąd wyosobnionemi wypadkami, a nawet w przemysłowej Anglji, która od tak dawna korzysta z pracy kobiet i dzieci, niedalej jak dwadzieścia lat temu związki zawodowe wprowadzać zaczęły element niewieści, wobec którego dawniej nieprzyjazną zachowywały postawę.

Warunki życia robotnicy angielskiej czynią dla niej nieocenioną i konieczną pomoc stowarzyszenia, ale te same warunki, stwarzając antagonizm między pracownikiem i pracownicą postawiły ostatnią na stanowisku gorzej płatnego i odpornego wobec wymagań pracodawców konkurenta. Trzeba było całego szeregu lat i doświadczeń, aby przekonać robotników, iż praca kobiet jest faktem związanym z nowoczesnym przemysłem, który usunąć się nie da, i że element ten zorganizować trzeba, aby stał się mniej szkodliwym, poprawiwszy własne warunki bytu. Tu więc jak i w wielu innych wypadkach przemysłowego życia dobrze zrozumiany interes własny elementu silniejszego, mężczyzn, poparł dą-

---

Potem otworzył ramiona i utulił w nich to dziecko słabe i znękane, pocieszając najczulszemi wyrazy, wspominając dom i kochanie i błagając za nim samym u niego.

Od owej nocy zaszła wielka zmiana.

Słoneczna pogoda Stacha zeszła na czoło zdegradowanego winowajcy, a oficer, co duszą był zabaw, ulubieńcem kolegów, jak ziemia zczerniał, jak drzewo znieczulał.

W pochodzie dla podwładnych był opryskliwy i przykry, w bitwie nie rozpalał się szalonem bohaterstwem, u ognia obozowego siadywał samotny i posępny, nie odzywając się, chyba z musu.

Zdawało się, że pomimo rozmowy, nocnej z kolegą, pomimo łez i zgody, widok Konstantego był mu torturą, wstydem i wyrzutem nad siłę natury tej niezłej, a grzesznej właśnie przez zbytek wrażliwości.

I znowu minął miesiąc.

Bandy gerylasów napełniały kraj; zgniecione sto razy odrastały z niepojętą szybkością, zalewały wąwozy i góry — mnożyły się coraz zuchwalsze. Ułani dokazywali cudów, szarpani na wsze strony, uchodząc z pułapek zwyciężając pięćkroć liczniejsze od siebie bandy.

Pewnego wieczora, Konstanty, stojący na posterunku u dróg krzyżowych, ujrzał samotnego człowieka, który, bez broni i tylko płaszczem po oczy osłonięty, zbliżał się wprost do niego.

— Kto idzie? — krzyknął.

— „Austerlitz i Marengo!“ — odparł człowiek, hasło tego wieczora.

— Do kogo idziesz?

— Do porucznika Stanisława.

Ułan pochylił się naprzód.

— Czego?

W tej chwili, tuż za nim, zmieniony chrypliwy głos Stacha ozwał się rozkazująco:

— Znam tego człowieka. Puść go! Pójdzie ze mną!... Chwilę zdawało się, że lanca ułana zamiast oddać honor oficerowi, utopi żelazo w piersi czarnej postaci szpiega, czy kusiciela, ale wnet niewolnica subordynacyi skłoniła się tylko. Człowiek przeszedł.

Noc była chłodna i przykra. Patrol u krzyżowych dróg drżał i dygotał jak w febrze.

Wiatr przenikliwy i suchy owiewał mu twarz zmienioną, oczy zamglone strachem. Szczękał zębami i urywane, pół wargami, pół myślą, począł odmawiać pacierze. Bo i kto, co mu na tę nową zmorę poradzi. Wicher rwał mu z ust wyrazy i rzucał na obóz.

— Jezu! jakeś się przemienił na górze Tabor, tak racz przemienić smutki i pokusy jego w radości i zwycięstwa...

Ranek wszedł i słońce ogrzało drżącego żołnierza.

Otrąbiono marsz przeciw wsi, pełnej zbuntowanego chłopstwa i niedobitków brygantów, rozgromionych wczoraj.

Czarnego człowieka nigdzie nie było. Znikł jak larwa.

Na przedzie Stach jechał i sprawiał szyk, twarz miał bladą, ale spokojną.

Ruszono. Hiszpanie dopuścili ich blizko i nagle zionęli tysiącem kul. Powstał wir straszliwy. Obłoki dymu, wrzask, kwik koni, huk wystrzałów. Ułani złożyli, lance i runęli, wszystko znosząc po drodze.

Gdy się Konstanty opamiętał i spojrzał jaśniej w około, dobiegali po trupach swoich i hiszpańskich bramy osady i roznieśli jak puch tę ostatnią zaporę.

Stacha nie dojrzał, ale nie czas było szukać. Bój wrzał na ulicy dalej. Mordowano się ze zwierzęcą wściekłością, pierś przy piersi, głowa przy głowie. Rzeź trwała do wieczora. Purpura zachodu zbiegła się z purpurą pożaru. Ułani wśród zgliszcz i trupów dobijali resztę rozbitków, nie pardonując nikomu, rozwścieczeni krwią i dymem prochu. Wówczas Konstanty rzucił konia i pieszo począł oglądać trupy, obchodzić całe pobojowisko. Przetrząsł każdą

żenia kobiet, które zdecydowały się wreszcie przeciwdziałać nędzy swego bytu i zapobiedz osamotnieniu.

Piętrzyły się tu przecież trudności, istniejące i dzisiaj, a dopiero szeroki ruch „niewykwalifikowanych“ (unskilled), stawiając na jednym poziomie siebie i kobiety, stanowczo rozstrzygnął fakt udziału kobiet w związkach, które przyjmują je dziś coraz gromadniej i na tych samych warunkach, co mężczyzn, a także nie opierają się tworzeniu związków kobiecych.

Jest to fakt świeżej daty: tem donioślejszy, że od trzech lat objawia on się też w całej środkowej Europie, a wprowadzenie inspektorek fabrycznych we Francyi i Anglii (obecnie dwie) uznało prawnie wymagania i potrzeby żywiołu niewieściego w przemyśle*).

Najpierwsze i najpotężniejsze związki zawodowe w Anglii powstały, jak wiadomo, wśród pracowników wykwalifikowanych i dobrze płatnych, stanowiących niejako arystokracyę robotniczą, która opierała się wszelkiemi siłami wkroczeniu do związków wielkiej masy robotników niepewnych jutra. Związki te powstawały przedewszystkiem w wielkim przemyśle.

Robotnicom wstęp do związków utrudniony był już przez to, że były gorzej płatne. Robotnicy wykwalifikowani bowiem i dobrze płatni to zwykle mężczyzni — rzemieślnicy, dopiero wśród wyrobników spotykamy owe zastępy kobiet, które grożą zupełnem wyparciem elementu męzkiego z niektórych gałęzi przemysłu. Przemysł przędzalniczo-tkacki Anglii dostarcza danych, popierających wymownie to ostatnie twierdzenie. Na 100 mężczyzn pracowało w przemyśle bawełnianym w 1861 r. 130 kobiet, w 1871 r. już 148, a w dziesięć lat potem 164. W przędzalniach wełny czesankowej na 100 mężczyzn wypada 180 kobiet. Tę groźną konkurencyę przypisać należy taniości kobiecej siły roboczej. Kobieta w Anglii tak jak i u nas pobiera zawsze mniejszą płacę od swego towarzysza mężczyzny; w garncarstwie np. kobiety pobierają 13 szyl. za pracę, którą mężczyzna wykonał za 30. W rzemiośle krawieckiem w Londynie wybuchło bezrobocie wśród krawców, opierających się wprowadzeniu kobiet z płacą o 50 proc. niższą od męzkiej. To samo dzieje się w fabrykach papierosów, gdzie kobiety obniżają niemal płacę o połowę, a dzieci czasem za dziesiątą część wykonywają pracę, spełnianą dawniej przez mężczyzn dorosłych.

Kobieta występuje przeto wszędzie, jako groźny współzawodnik i niemal wróg męzkiego robotnika; dzięki swej niezaradności, brakowi solidarnego występowania, mniejszej skali potrzeb, burzy jego położenie materyalne, sama zaś stwarza sobie nędzne warunki pracy. Walka i przeciwdziałanie były tu niezbędne: należało usunąć niedogodny żywioł, albo uczynić go odpornym, a przeto mniej szkodliwym. Usunięcie pracy kobiet nie okazało się możliwem, wszelkie usiłowania związków rozbiły się tu otwardą konieczność rozwoju kapitalizmu, który coraz częściej całą rodzinę zmuszał do fabrycznej pracy. Drugi sposób: organizowanie pracujących kobiet, okazał się skuteczniejszym i dziś związki kobiece w wielkim przemyśle rozwijają się bardzo pomyślnie.

Praca kobieca przecież służy przeważnie drobniejszym gałęziom przemysłu. Jakkolwiek ilość kobiet, zajętych w przędzalnictwie i tkactwie (obecnie 628,000) przenosi liczbę pracujących w każdej innej gałęzi pracy, to większość przemysłów, zajmujących kobiece siły, należy nie do wielkiego ale do drobnego, a nawet do domowego przemysłu. Do takich zaliczyć trzeba fabrykacyę kopert, piór stalowych, pudełek, worków, świec, kwiatów, gorsetów, haftów, rękawiczek, siatek, wyrobów ze słomy, w których pracuje 83,000 robotnic, i które należą przeważnie do przemysłów domowych. Stowarzyszenia nie wkroczyły dotąd do tych przemysłów.

Wśród szwaczek i bieliźniarek najuboższej i najbardziej pomocy potrzebującej klasy robotnic znaleźć można zaledwie drobne początki związków, gdyż są to również przemysły przeważnie domowe, w których pracują drobne grupy kobiet. Tu jednak spotykamy się z pracownicą do pewnego stopnia wykwalifikowaną, co dla wszelkiego stowarzyszenia zawsze jest nader korzystnym warunkiem. W ogóle zaś warunki życia pracujących kobiet usposabiają je mniej niż mężczyzn do zawodowego kształcenia.

Młoda dziewczyna uważa pracę zarobkową za przejściowe zajęcie, które ustanie wraz z wyjściem za mąż i nowemi obowiązkami matki i żony. Taki pogląd i ją i rodzinę rozgrzesza z konieczności kształcenia fachowego dziewczyny, nawet tam, gdzie wszelkie usiłowania zwracają się ku przysposobieniu dziecka do zawodowej pracy. U robotnic fabrycznych wprawdzie ciężka konieczność wyrobiła już przekonanie, że z pracą w fabryce zapoznać się muszą od najwcześniejszego dzieciństwa, a rozstać mogą zaledwie u schyłku życia. Tam przecież kobietom powierzają niezłożoną funkcyę, polegającą na powtarzających się wciąż niewielu ruchach rąk czy nóg, do której potrzebną jest tylko wprawa, a nie uprzednie przygotowanie. Wprawa zaś zdobywa się w ciągu samej roboty, zwłaszcza gdy wykonywać ją poczną drobne palce dziecinne; całe lata pracy doprowadzają wreszcie robotnicę do stanu doskonale funkcyonującego koła maszyny.

Przemysły domowe lub t. zw. artystyczne już samym składem swoich pracownic przekonywają, jak kobieta zapatruje się na zawodową pracę. I tak np. introligatorzy w Londynie liczą stałych robotnic koło 3000, tymczasem przeszło 5000 robotnic oddaje się pracy przez pewną część roku. Owe tedy zbywające tysiące, spotykane w tym, jak i w innych zawodach, to przypadkowe robotnice, które zarabiają często na gałganki, dążą do zmiany zawodu, nie sposobią się dość sumiennie, pracują za byle co i tym sposobem pracownicom rzeczywistym obniżają zarobki. Powstrzymanie takiej niepożądanej konkurencyi, stworzenie warunków pracy, które w zamian za całodzienne zajęcie dawałyby coś więcej nad nędzną płacę chroniącą od śmierci głodowej, oto zadanie, jakie postawiły sobie kobiece organizacye zawodowe. Chodzi tu również o stworzenie hygienicznych warunków pracy, zniesienie godzin dodatkowych, zamianę płacy od sztuki, przeważającej dziś w większej części przemysłów na płacę dzienną, zniesienie lub obniżenie kar, słowem o takie warunki pracy, do których dąży i stowarzyszenie mężczyzn. Ta wspólność celów umożliwia łączenie się mężczyzn i kobiet w jeden związek lub współdziałanie stowarzyszeń kobiecych i męzkich.

Dążenie do zawięzywania stowarzyszeń zawodowych wśród kobiet rozpoczyna się w 1874 roku za inicyatywą pani Patterson, która, należąc sama do klasy robotnic londyńskich, przejęła się tą sprawą, udała do Ameryki dla zapoznania z istniejącemi tam organizacyami kobiecemi i stanęła na czele związku, który miał za zadanie organizować robotnice w stowarzyszenia (późniejsza „The womens Trades-Unions Provident League.“) Program związku obejmował zwoływanie zebrań, wydawanie i rozszerzanie pism i broszur, którebу zachęcały do tworzenia związków, zbieranie niezbędnych funduszów i materyałów faktycznych, odnoszących się do różnych gałęzi kobiecej pracy, wreszcie kształcenie robotnic. Związek stał się ogniskiem, dokoła którego powstawały koła zawodowe. Już pierwszy rok wykazał bardzo szczęśliwe rezultaty, gdyż w samym Londynie powstało pięć związków kobiecych, a mianowicie: introligatorek, krawczek, tapicerek, bieliźniarek i kapeluszniczek.

Początki nie były jasne, ale rozwój bardzo szybki. Związek introligatorek na pierwsze zebranie zgromadził 12 kobiet, na drugie jednak stawiło ich się już trzysta, a obrót pierwszego roku wynosił blizko 50,000 Mr. (900 funtów szterlingów dochodu i 1592 funty szterlingów

*) Korzystamy tu z faktów podawanych w ostatnim zeszycie „Archiv. für Gesetzg. u. Statistik.“

---

gromadę, policzył prawie zabitych, poznał każdego. Stacha nie było. Chwilę stał jakby gromem rażony, z kroplami zimnego potu na skroni, potem upadł na ziemię i zapłakał. Nagle się zerwał. Trąbka zwoływała do chorągwi. Pobiegł do konia, ból i zgrozę wtłoczył w duszę. Już spokojny i skupiony stanął w szeregu.

Nazajutrz pogrzebano umarłych, zliczono żywych.

— Porucznik Stanisław nieobecny! — oznajmiono.

Żołnierz jeden wystąpił z szeregu i, salutując, zaraportował:

— Porucznik Stanisław raniony. Złożyłem go u pasterza w górach.

Było to jego drugie kłamstwo. Wezwany, przysiągłby na nie! Uwierzono mu! Pomimo zdegradowania otaczał go dawny szacunek i cześć, znano ich przyjaźń i niewątpiono, że ranionego dobrze umieścił.

Rącze były konie i wielka ochota. Po paru dniach daleko była nieszczęsna, spalona osada, daleko pamięć postradanego oficera.

Tylko Konstanty pamiętał, dobrze pamiętał. Widmo dezercji, najstraszniejsze dla żołnierza, torturowało go dniem i nocą. Gorsza to była troska, niż ta nawet, którą przechodził, gdy go uważał za zabitego, zamordowanego niknie. Przy biwaku jeszcze czasem otwierał Plutarcha i zmuszał myśl do uwagi, częściej płaszcz nasuwał na głowę i znękany, pytał siebie po raz setny, co powie tam w domu, tym kobietom, co czekają wnuka, brata, narzeczonego — bohatera. Znowu dni biegły i tygodnie w krwi i trudzie. Wróciły Konstantemu galony i szlify, odzyskał rangi i znaczenie, nie wróciła tylko pogoda nie odzyskał nadziei.

Zdziesiątkowany, zmęczony pułk wysłano nareszcie na północ. Z kraju nadbiegły mu posiłki, nowa danina młodej krwi z ziemi zawsze ofiarnej.

Zapełniły się kadry i animusz się odświeżył. Z pieśnią i muzyką szli cudnym krajem po nowe tryumfy. Starsi ćwiczyli młódź, a rekruci opowiadali co tam słychać po rodzinnych siołach i dworach.

Pewnego wieczora obejrzał się Konstanty uważniej po okolicy i poznał — nim posłyszał nazwę.

W prawo — istny kraj winnic, przecięty kamienną drogą, w lewo — gaj kasztanów, przed nimi czarne czeluście wąwozu.

— Gdzie zanocujemy? — spytał adjutanta.

— Ty, kapitanie, z kampanją swoją staniesz tu niedaleko w miasteczku El Pahul! My pójdziemy trochę dalej. Anglicy czekają na nas za Puente nad rzeką. Jutro, pojutrze będziemy w tańcu.

Po licu pytającego przebiegła bladość i strach nagły.

Rozkaz był rzeczą, nie podlegającą żadnej krytyce. Spełnił go i stanie znowu w znienawidzonym miejscu, kolebce wszystkich jego nieszczęść i zawodów. Wszedł pułk w wąwóz krwawo pamiętny i minął go bez przeszkody.

Pusty był teraz i głuchy.

Gdy szyk się rozwinął po drugiej stronie przejścia, ujrzano w lewo miasteczko z wieżą kościoła, dobrze znane Konstatemu. Kompanja jego oddzieliła się na komendę i pokłusowała za nim w tę stronę, reszta pułku ruszyła dalej.

El Pahul wyglądało, jak wymarłe. Ułani zajęli bramy i ulice, rozbiegli się po domach, szukając żywności i furażu; kapitan, rozlokowawszy ludzi, wydawszy rozkazy, stanął z pięciu szeregowcami przed domem Alcada i zastukał we drzwi rękojeścią szpady.

Po dość długiem milczeniu, podwoje rozwarły się nieco, w otworze ukazało się żółte oblicze starego hiszpana. Na widok Konstantego zachwiał się i zzieleniał.

Ave Maria purissima! — pozdrowił go oficer zwyczajem miejscowym.

— *Deo gratia!* — wybełkotał Alcad.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

rozchodu). Wogóle związki z takich zawodów, w których pracownice są lepiej płatne, rozwijały się wiele pomyślniej od tych, w których przeważał istotny proletaryat robotniczy. Lepiej płatnemi są wogóle pracujące w lokalu przedsiębiorstwa, które stosować się również muszą do prawnie przepisanych godzin pracy. Przy tem płace w ciągu sezonu są dość wysokie, po sezonie opadają, a na stowarzyszenie pada obowiązek wspomagania swych członków. Że jednak warunki pracy w każdym przemyśle są odmienne, a takie, że między robotnicami wytwarza się głęboko zakorzenione poczucie kastowości, pierwotna myśl inicyatorki, połączenia w jeden związek wszystkich angielskich robotnic, upada; fakty wykazują, że tylko związki zawodowe przyszłość mieć mogą. Inna za to instytucya, stworzona przez ligę, wielkie okazała usługi, a mianowicie założona w 1878 r. kasa wkładowo-pożyczkowa, do której robotnice składać mogły choćby najmniejsze swe oszczędności i brać pożyczki na 5 procent. Liga organizuje również towarzystwa sportowe (pływackie), czytelnie, wspólne kolonie nad morzem, towarzystwa samokształcące i t. p. Wszystko to stało się możebnem dopiero od czasu, gdy robotnica przestała być osamotnioną, bezradną jednostką, stając się członkiem większej całości.

Usiłowania te nie pozostały bez rezultatu: niezmiernie dobroczynny wpływ moralny wywarły stowarzyszenia na swoich członków, budząc uczucie solidarności, zachęcając do kształcenia się i zapoznając z warunkami pracy, któremi związek zająć się musiał. Z bezmyślnych często wykonawczyń przeistaczały się one w energicznych członków społeczeństwa, które popyt i podaż, konkurencya zagraniczna, kwestye prawne i ekonomiczne coraz żywiej obchodzą. Nawet działalność polityczna nie jest im obcą.

Związek praczek londyńskich zażądał, aby pralnie, w których praktykowane były wszelkie sposoby wyzysku pracujących, podciągnięto pod paragrafy fabrycznego prawa. Agitacya wprawdzie się nie powiodła, ale zwróciła na siebie uwagę, przysparzając członków organizacyi.

Lepiej udało się, gdy w wielkiej fabryce rządowej, produkującej ubranie dla armii, zagrażała obniżka płac; liga zwróciła uwagę na żądania robotnic i wybrawszy deputacyę wysłała ją do parlamentu. Obniżka została cofniętą.

Dziś związki wyłącznie kobiece liczą w Anglii 8700 członków. Jak widzimy jest to zawsze bardzo mały procent pracujących, zwłaszcza, że obok Londynu organizacye powstawały i w prowincyach. Działo się to albo za inicyatywą ligi, albo niezależnie od jej starań. Już w drugim roku swego istnienia liga rozpoczyna organizacyę w wielkich centrach przemysłowych takich jak Glasgow, Sheffield, Manchester, Liverpool, Oxford, Leeds. Wszędzie tworzą się związki na podstawie zawodowej i organizują na wzór unionów londyńskich, a więc i związków zawodowych męzkich. Ale i niezależnie od ligi tworzy się w Dewsbury zwięzek tkaczek i pończoszniczek w Leicester. Za niemi idą liczne związki w Szkocyi i we wszystkich przemysłowych centrach Anglii.

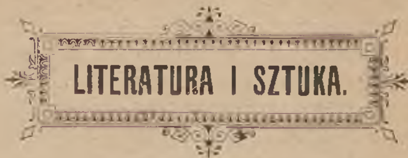
Czysto kobiece związki nie dosięgły przecież nigdy tego rozwoju, co związki mieszane. Do takich należy dziś 90,000 robotnic, które równe mają prawo ze swemi męzkiemi towarzyszami. Pod opiekę ligi oddał się np. związek robotników textylnych liczący 45,000 członków, w których przeważa liczebnie element kobiecy. Jak zresztą spodziewać się można było zarówno liga, jak i niezależne od niej związki kobiece lub mieszane posyłają swych przedstawicieli na doroczne kongresy angielskich związków zawodowych, Przyznano na nich równouprawnienie kobiet, a na wniosek Miss Simcox, tej samej, która była inicyatorką kongresu górników podczas wystawy paryskiej, uchwalono, żeby wszystkie kraje starały się o tworzenie zawodowych organizacyi wśród pracującej płci obojga. Jest to większy nieomal tryumf, niż wytwarzanie odrębnych kobiecych organizacyi, które, jak mówi już sama ich liczebność, nigdy takiego powodzenia jak mieszane mieć nie mogą.

Związki męzkie muszą przeprowadzić zmiany w swych statutach, gdy chodzi o przyjęcie kobiet, już choćby dla tego, że przy nizkich zarobkach kobiety nie byłyby w stanie opłacać składek oznaczonych. Pierwszy dał tu przykład związek szewców, liczący 11,000 członków, do którego należy dziś 3216 kobiet. W innych napływ kobiet jest tak wielki, że po dwa i trzy razy przenoszą cyfrę członków mężczyzn. I tak np. było 1893 r. w związkach:

	Mężczyzn	Kobiet
Gremplarzy wełny	6,500	21,000
Przędzarzy bawełny (oldhand) .	1,044	7,181
Zjednoczonych tkaczy północy	29,000	43,000
Tkaczy w Bolton	1,140	3,000
Tkaczy w Pradford	500	1,500

Przykładów mnożyć tu nie będziemy i te wystarczą, dla wykazania, jak silnie żywioł kobiecy wkracza do organizacyi zawodowych. Dziś stowarzyszeń mieszanych w Anglii liczą 14-cie, wyłącznie kobiecych 31, w pierwszych przecież, jak widzieliśmy, bierze udział przeszło 10 razy więcej kobiet niż w drugich.

Dr. Z. D.



Książka St. Koźmana o 1863 r.

(*Dokończenie.*)

Zapomniałem o rzeczy najważniejszej. Bez książki p. Koźmiana bylibyśmy w niemałym kłopocie, gdybyśmy chcieli wiedzieć, co p. Koźmian myślał przez cały rok 1863. Co więcej, może nigdy nie przypuszczalibyśmy, że trzeba go było słuchać, a wszystko poszłoby inaczej. Tylko winą zbiegu okoliczności i winą „złudzeń“ osobistych p. Koźmian nie stał się człowiekiem opatrznościowym. Nie piszemy tego na wiatr — dowody mamy w książce.

O tem, że powstanie jest nieszczęściem wiedział p. Koźmian już w Dobrzechowie, kiedy nadeszła wiadomość o wybuchu (str. 3). Gdyby *Rząd narodowy* był poradził się p. Koźmiana nie byłoby nieszczęścia.

P. Koźmian „wiedział“ jednocześnie (patrz tę samą stronnicę), że powstanie mogło być na rękę Napoleonowi III — gdyby tej wiadomości udzielił rządowi narodowomu, może znowu nie byłoby nieszczęścia.

„Miał w pierwszej zaraz chwili jak najlepsze i najpewniejsze doniesienia, że powstanie na żadną pomoc zewnętrzną liczyć nie może, ani na wybuch wojny europejskiej“ (str. 10). Trzebaż fatalności, że Napoleon III wkrótce jakoś inaczej zaczął myśleć od p. Koźmiana i że p. Koźmian skutkiem widocznie suggestyi Napoleona uległ „złudzeniu“.

Jeszcze przed ową suggestyą był p. Koźmian „stanowczo przeciwny popieraniu powstania, nie ukrywał swojego zdania, nie szczędził usiłowań, aby przyjaciół i rozsądnych ludzi powstrzymać“ (str. 11). „Czułostkowość“ i obawa pozostania poza ruchem narodowym“ — zwyciężyły wszelkie usiłowania p. Koźmiana.

Gdyby p. Koźmian nie ulegając „złudzeniom“ nie był pisał artykułów w „Czasie“ i nie wysyłał telegramów do gazet zagranicznych — to znowu powstanie prawdopodobnie prędzej by upadło.

Wyjazd p. Koźmiana do Paryża nie przyniósł żadnego rezultatu. Ale wszakże to nie jego wina lecz Napoleona III, który nie chciał się z nim widzieć. A p. Koźmian chciał się

WIGILIA W LESIE.

Śnieg się usypał głęboki, puszysty, biały. Gałęzie świerków i sosen gięły się pod jego ciężarem, drzewa spokojnym, zimowym snem ujęte, wśród ciszy leśnej stały nieruchome. Wieczór zapadał.

Powolnym krokiem, z dubeltówką przewieszoną przez ramię, stary nadleśny zmierzał ku domowi. Czapkę baranią nasunął na czoło, na siwych wąsach osiadł mu szron i smutną, surową twarz starego człowieka posępniejszym jeszcze niż zwykle przybrał wyrazem.

Drzwi domu zastał uchylone, wszedł i w sieni spotkał się z kobietą niemłodą, ale rumianą jeszcze i czerstwą, w chustce na głowie.

— A! pan mój wraca! — zawołała radośnie — bo ja już lecieć muszę. Dzieciska stęskniły się tam za matką. Przygotowałam wszystko, nakryłam, ogieniek napaliłam wesoły, ciepło będzie spać. No, wesołych świąt życzę panu — dodała, całując w rękę nadleśnego.

— Nawzajem, nawzajem! Idźcie z Bogiem moja Antoniowa.

Kobieta wyszła, on za nią zaryglował drzwi i wszedł do izby. Tak, prawda, na kominku ogień płonął wesoły, izbę całą zalewając światłem, stół stał nakryty, pod obrusem leżało siano, waza z zupą dymiła, nawet opłatki białe znalazły się na talerzu; tylko do tego stołu nikt prócz niego zasiąść nie miał, tylko tym opłatkiem nie było się z kim rozłamać!

Machinalnie zdjął dubeltówkę, postawił ją w kącie i usiadł za stołem. Ale nie brał się do jedzenia. Szklisty, wpółprzytomny wzrok utkwił w buchającym na kominku ogniu i pozostawał tak chwilę; widać myśli jego wędrowały gdzieś daleko. W końcu wziął do ręki chleb, ułamał kawałek i chciał podnieść do ust, ale chleb wypadł mu z ręki, a z siwych, surowych oczu gradem pociekły łzy i szybko stoczyły się po zmarszczonych, ogorzałych policzkach.

Wstał, rozpaczliwym ruchem zacisnął ręce, aż mu zatrzeszczały stawy, jakby się w bólu niezmiernym od jęku usiłował powstrzymać i gwałtownie chodzić począł po pokoju.

— Ha, inaczej, inaczej bywało tu kiedyś! Ha, i on miał swoje skarby i on miał dzieci swoje! Chłopaka Bóg mu dał jak iskra żywego, a szczerego, a serdecznego jak złoto. W czarnych oczach tlały mu wieczne ognie wesołości, a usta śmiały się się takim radosnym dziecinnym prawie śmiechem. Młodą głowę nosił hardo do góry i ojciec nie gniewał się o to, bo jemu tak pięknie było z tą dumą młodzieńczą, nieugiętą, z tym ruchem wyzywającym, śmiałym, którym odrzucał w tył bujne, czarne kędziory.

I dziewczynę miał jasnowłosą. Chodziła ze spuszczonemi warkoczami i kiedy się śmiała to przez łzy, a kiedy płakała to jej uśmiech anielski wykwitał na ustach.

I te jego skarby, te jego kwiaty leśne poniszczyli mu ludzie.

Hardego chłopaka giąć chcieli jak trzcinę, aż im się złamał w rękach, a dziewczęciu zabrali wszystkie uśmiechy. Jej biednej zostały tylko łzy. Serduszko młode zabrał jej pan bogaty i podeptał, a dziewczę nikło, nikło coraz smutniejsze i cichsze. aż ucichło na zawsze.

Ha! nie rosnąć kwiatom na tej ziemi nieszczęścia i hańby, ha! nie żyć młodym na niej pełnią życia!

I widział dumną głowę swojego chłopca spuszczoną posępnie na piersi i oczy, co tak śmiało patrzyły przed siebie, przymknięte na wieki. I widział dziewczyny swojej warkocz potargany i twarzyczkę bladą, na którą po śmierci dopiero wystąpił serdecznej skargi ból.

A teraz nie zobaczy ich już nigdy, nigdy! Dzieci swoich nie zobaczy już więcej!

widzieć i zapewne nie bez celu, nie dla przyjemności porozmawiania. Albo czuł, że przekona Napoleona i popchnie go do energicznego działania, albo przynajmniej sądził, że wydusi z niego jasną, kategoryczną odpowiedź, czy i co czynić zamierza? Rezultatem więc tej rozmowy byłaby wojna europejska, albo odebranie wszelkiej nadziei, co byłoby położyło koniec powstaniu.

Mowa p. Koźmiana w restauracyi Duranda nie została zrozumianą (str. 96), a właściwie przebrzmiała bez echa. A stawiał przecież między innemi propozycyę odsunięcia się od powstania. Nie usłuchano go.

Rozszerzenie powstania na prowincye zabrane było wielkim błędem, bo powiększyło rozmiary nieszczęścia, a przecież p. Koźmian odwodził od tego zgubnego kroku (str. 107).

Ogłosił car amnestyą. Osobny rozdział poświęca p. Koźmian opowiadaniu tego, jak „nie mógł przyjść do równowagi“. Znowu „złudzenia“ wpłynęły na jego artykuł za odrzuceniem amnestyi. „Fatalność“ chciała (str. 117) że zaraz po telegramie o amnestyi przyszedł telegram o wysłaniu not przez mocarstwa zagraniczne do Petersburga. Gdyby nie to, możeby p. Koźmian napisał artykuł za przyjęciem amnestyi, a ponieważ bije się w piersi i woła: „zawiniłem!“ przeto widocznie sądzi, że od niego zależało położyć koniec powstaniu i skorzystać z amnestyi, która rzeczywiście w danej chwili byłaby bardzo wiele, jeżeli nie wszystko, uratowała. Skutki artykułu p. Koźmiana były, jak sam świadczy „opłakanemi“.

W rozdziale, traktującym o interwencyi dyplomatycznej przytacza p. Koźmian swoje artykuły, w których wykładał Austryi, Anglii i Francyi, że mają swój interes w restauracyi Polski. Żadne z trzech mocarstw nie dało się przekonać p. Koźmianowi. Gdyby się dały przekonać, artykuł jego o amnestyi nie byłby doprowadził do tak zgubnych rezultatów.

Znowu wielkim błędem p. Koźmiana, opartym także na „złudzeniach“ było zachęcenie do dymisyi Rady stanu, Rad powiatowych i gubernialnych w Królestwie. Gdyby nie był popełnił tego błędu, nie byłoby zapewne dymisyi, możnaby jeszcze myśleć o wyjściu na pół cało z katastrofy.

Jakie zasługi położył p. Koźmian w walce z rozmaitemi *Rządami narodowemi*, dowiadujemy się z książki bardzo szeroko. Właściwie, musimy mu to przyznać, że w opisach tej walki rzadko wysuwa naprzód swoją osobę, może z tego powodu, iż rzadko był powoływanym do broni. Posługuje się więc przeważnie zaimkiem *my*. Owo „my“ jest często tak nieokreślone, że nie można się nawet domyśleć kogo oznacza.

Morderstwa skrytobójcze w Warszawie bardzo zgubny wpływ wywierały na zagranicę. Z tego powodu p. Koźmian kilkakrotnie „bardzo silnie pisał w tej mierze do Warszawy“ (str. 195).

Traugut spiesząc do Warszawy dla objęcia *Rządu narodowego* konferował z p. Koźmianem. Udzielił on Traugutowi swoich uwag (str. 223), a ten przybywszy do Warszawy „działał energicznie, stanowczo w duchu i kierunku, które uznawał za potrzebne“ (str. 225).

Kiedy chciano powstanie przenieść do Galicyi, p. Koźmian oparł się temu i został „podobno“ skazany na śmierć. Nie miał wprawdzie strachu, bo „już wtedy stępiały sztylety“ (str. 240), ale „spełnił obowiązek“.

Kończymy tę litanią na przeświadczeniu p. Koźmiana, o którem poprzednio pisaliśmy, że on wraz z swoimi przyjaciółmi położył koniec powstaniu. „Oświadczyliśmy, że do dalszego przedłużania powstania ręki nie przyłożymy. Uszczuplone aresztowaniami *Grono krakowskie* usunęło się od wszystkiego“ (str. 243). Powstanie zaraz potem skonało...

I ktoby mógł pomyśleć, że p. Koźmian tyle razy w rękach swoich trzymał losy powstania i wogóle wypadków, że raz naprzód wszystko wiedział, wszystko przewidywał, a tylko nieszczęście chciało, iż głos jego przebrzmiewał bez echa, że innym razem jego „złudzenia“ dolewały oliwy do ognia. Tłomaczy się więc z win swoich, to znowu ubolewa nad fatalnościami, jakie mu weszły w drogę, to wreszcie daje poznać, że był pełen błysków oświetlających położenie i skarży się, że go nie zrozumiano. Gdyby społeczeństwo szło za jego radą byłoby uratowane, gdyby społeczeństwo innym razem nie słuchało jego rady, także byłoby uratowane. Dziwić się doprawdy należy, iż człowiek takiej mocy, takiego wpływu, takiego jasnego poglądu, tak skromne zajmował stanowisko, że był jedynie dodany do pomocy obywatelowi Brzeskiemu w pisaniu telegramów i korespondencyi. Gdybyśmy o tem nie wiedzieli, to sądzilibyśmy, że mamy do czynienia jeśli nie z dyktatorem, to co najmniej z członkiem *Rządu narodowego*, albo jego komisarzem pełnomocnym na Galicyą.

Pan Koźmian był jednem z najmniejszych, ledwie okiem dostrzeżonych kółek w olbrzymiej maszynie powstania i temu to może przypisać należy, iż tak mało wie o niem i o organizacyi galicyjskiej, a wie tylko dobrze o sobie i o *gronie krakowskiem*, o którego istnieniu świat tylko dzięki jemu się dowiedział. Ale mała, bardzo mała z tego dla świata i historyi wypadków roku 1863 pociecha.

Wogóle książka p. Koźmiana czyni na nas takie wrażenie, jakieby uczyniło dajmy na to dzieło jakiegoś piechura napoleońskiego, któryby je napisał w celu zrzucenia z siebie winy za klęskę pod Waterloo.

Ale stare myśliwskie przysłowie powiada, że pierwsze „koty za płoty“. P. Koźmian pierwszy raz się wziął do napisania książki. Do jakiego stopnia nie był przyzwyczajony do tego rodzaju pracy, dowodzą częste powtarzania, umieszczanie w ciągu opowiadania in extenso różnych dokumentów, szerokie traktowanie spraw drugorzędnych (zabójstwo Kuczyńskiego), wobec lekkiego szkicowania, zaledwie wzmianki o rzeczach dla opracowywanego przedmiotu najważniejszych, brak wszelkiej wiadomości o źródłach, odbieganie od treści, lekceważenie układu chronologicznego, brak decyzyi, czy to ma być własny pamiętnik, czy książka historyczna itd.

Nie przesądza to wcale wartości tomów następnych. P. Koźmian zyskawszy już pewną wprawę, sam zapewne widząc liczne niedostatki pierwszego tomu, może się poprawić, może napisać jeżeli nie rzecz zupełnie dobrą, to nie złą, średnią, a jeżeli nie średnią, to w każdym razie chociaż mniej mizerną, aniżeli tom pierwszy. Może tych następnych „kotów“ już za płot nie będzie trzeba wyrzucać.

A wtedy p. Stanisław Tarnowski może napisać, iż wyszła rzecz „najznakomitsza“.

K. Bartoszewicz.

LITERATURA NIEMIECKA.

J. Duboc. Hundert Jahre Zeitgeist in Deutschland.

Poważny, zaszczytnie znany w literaturze filozoficznej i publicystycznej idealista, Juliusz Duboc, w „Historyi ducha czasu, bieżącego stulecia“ dał nam właściwie drugi tom ogłoszonego przed czterema laty dzieła, które i dzisiaj nie straciło swej wartości, jak również usterek dawnych. Zdaje się, że w planie pracy nie leżał początkowo wydany obecnie tom drugi: pierwszym objął prądy filozoficzne, moralne i literackie, które nurtowały społeczeństwo niemieckie w przeciągu stu lat ubiegłych. Dopiero po zapisaniu ostatniej kartki, a być może i pod

---

Padł na krzesło i zaniósł się płaczem szalonym. Jak dziecku łzy mu leciały gorące i łkanie rozpaczne szarpało pierś starą.

Późno było, kiedy się uspokoił, uciszył nareszcie. Siwa głowa opadła mu na piersi, przymknęły się powieki i sen-pocieszyciel ogarnął duszę zbolałą... Las przed nim, wśród lasu droga, gałęzie drzew szron pokrył srebrzysty. On idzie coraz dalej i dalej, ale mu dziwno jakoś. On swojej puszczy każdy zakątek zna, a tego miejsca nigdy podobno nie widział. To jakiś las obcy, tajemniczy. Inaczej chylą się tu drzewa, inaczej miesiąc świeci. Nad drogą rośnie brzoza płacząca i wiotkie gałązki żałośnie schyla ku ziemi, naprzeciw niej dąbek młody śmiało wzbija się ku górze. Starzec idzie, idzie, a wciąż mu się zdaje, że te dwa drzewka spoglądają na niego, że o nim między sobą cichym gwarem gwarzą. Stanął pod nimi zadumany i uczuł, że go brzózka pieszczotliwie gałązkami swojemi trąca i szumi nad nim, ludzką mową szumi: „Ojcze mój — powiada — to ja, twoja dziewczyna. O nie płacz ty nademną! Mnie tu dobrze mój ojcze, tak dobrze, tak cicho! Wietrzyk po gałązkach moich piosnki przeróżne gra, mgły mnie otulają, miesiąc blaskiem stroi... i jeślim ja płacząca, to dla tego tylko, że mi ciebie ojcze, stary ojcze żal! O nie płacz nademną, tu nic nie zaboli, tu nie ukrzywdzi nikt. Jednego ranka on jechał przez las. On... ty wiesz ojcze, kto. Zatrząsłam listkami i krople rosy, któremi okryły mnie mgły poranne, spadły mu na czoło. On pojechał dalej i rosy kropelki, jak niegdyś łzy moje poniósł na sobie. Tu dobrze ojcze, tu cicho, tu błogo.

A dąbek młody tak szumiał nad starcem: „Mój ojcze, mój ojcze, nie żałuj ty mnie! Ty jeden wiesz jak mnie ciężko, jak trudno było żyć na świecie. Płaszczyć się trzeba było i podlić i karku przed podłym uginać, a tyś mnie tego nie nauczył sam i jam nie umiał, więc złamał mnie los. A teraz, widzisz, dębem dumnym i twardym wyrosłem; w górę śmiało wybiegłem mój ojcze, a kiedy wichry i burze nadejdą, to mną zatrząsną i złamią mnie może, ale mi czoła hardego nie ugną! O! nie żałuj ty mnie, nie żałuj! I gałązkami trąciły się drzewa i obydwa zgodnie zaszumiały: O nie płacz, nie płacz ty za nami! My tu nie same, my tu w tym lesie pomiędzy swoimi! Słuchaj, słuchaj, my tobie szumem tajemnicę lasu wyśpiewamy. Kto kocha za mocno, kto czuje za wiele, temu młodo umierać trzeba, temu lepiej w ciemnej puszczy drzewem prostem, zielonem wystrzelić, niż na świecie, pomiędzy ludźmi żyć! O mój ojcze, my tu pomiędzy swoimi. Posłuchaj tylko, posłuchaj!

I w tej chwili dwom drzewkom młodym zawtórowała puszcza cała i chórem wszystkie zaśpiewały drzewa: Kto kocha za mocno, kto czuje za wiele, temu młodo umierać trzeba. O nie płacz, nie płacz ty nad nami!

Z za chmur wysunął się księżyc i na pokryte szronem wierzchołki drzew rzucił snopy blasków przeczystych. Zamigotały światłem dyamentów i na tle błękitnem powietrza aureolą promienną gorzały...

Zbudził się starzec, podniósł senne powieki i zdziwionym wzrokiem powiódł dokoła. Na kominku przygasły już głownie i tylko fijołkowe płomyki biegały po bielejącym popiele. Ciemno było i cicho, a staremu w głowie wciąż jeszcze szumy grały dziwne i aureolą blasków świecił tajemniczy las.

Helena Ceysinger.

wpływem rad krytyków, przyjaźnie usposobionych dla autora — przyszedł on do wniosku, że cechy naszego wieku noszą charakter przedewszystkiem polityczny niezatarty i niezmniejszony przez inne kierunki myśli i życia. Dlatego napisał tom drugi, którego 264 kartki mają uzupełnić niewykończony, oderwany obraz rozwoju ducha niemieckiego w stuleciu ubiegłem. Autor obrał jednostronne stanowisko filozoficzne, jest wyznawcą Feuerbacha, (którego cytuje na każdej prawie kartce) i z tego punktu ocenia wszystkich i wszystko. Tutaj pogląd jego — być może skutecznie — zacieśniony rozszerza się wskutek oddziaływania dalekich widnokręgów historycznych. Bezwzględnie obcy Niemcom idealizm bohaterów z przed wieku orzeźwia uczucia cudzoziemca, który napróżno szuka iskry bożej na innych polach życia Niemiec współczesnych.

Już Hegel rzekł, iż dzieje są „postępem świadomej wolności“ — i zdaje się autorowi, że doświadczenie historyczne stwierdza ten pozornie ciemny aforyzm. „Wolność istnieje bowiem objektywnie tam, gdzie zniesione są wszystkie przygniatające ją przeszkody, gdzie jest obszerne pole dla jej urzeczywistnienia; subjektywnie zaś tam — gdzie tkwi zdolność panowania nad sobą.“

W pierwszym wypadku historya będzie przedstawiać obraz walki z despotyzmem na wszelkich polach — i jako ostatnie historyczne ogniwo wyobraża moc ludu w sprawowaniu rządów bez pomocy obcej: w drugim wypadku (subjektywnej wolności) da ostatecznie obraz dojrzałości narodowej, która pozwala mu moralnie i umysłowo panować nad sobą. Gdzie się oba rodzaje spotykają, tam powstaje „postęp świadomej wolności.“ Pod kątem tych właśnie postulatów, czyni autor przegląd dziejów niemieckich naszego stulecia i bada przedewszystkiem drogi, tudzież formy, w których powstała wolność w znaczeniu objektywnem. Despotyzm niemiecki nosi wybitnie typowy charakter — jakkolwiek nie zawsze jednakowy. Pod koniec przeszłego wieku jest na wskroś patryarchalnym, po wojnach emancypacyjnych pierwszego dwudziestolecia — ograniczonym despotyzmem Restauracyi, która kończy się burzą 1848 r. Wreszcie po reakcyi wzrasta do potęgi narodowego despotyzmu najnowszych dziejów niemieckich. Ta ostatnia epoka jest nierozerwalnie związana z imieniem Bismarka. Możemy tylko w krótkich rysach zaznaczyć wybitne charakterystyczne chwile każdej z tych trzech epok. Kiedy junkrzy w 1772 r. odważyli się protestować przeciwko jednemu rozporządzeniu króla, otrzymali w odpowiedzi na to aforyzm, który może być historycznym: „ja jestem panem i królem i mogę czynić, co mi się podoba“ I tak podobało się królom pruskim prowadzić szeroko rozwinięty handel żołnierzami za granicą. Jest to okres niedostatecznie znany — jak również i dzieje narodzin monarchii pruskiej nazbyt mało interesowały dotychczas naszych historyków i w szczególności psychologów. W broszurze „Avie aux Hessois et autres peuples de l'Allemagne vendus par leurs princes a l'Angleterre“ wołał Mirabeau: „Więc do tego doszło, że potomkowie pogromców legionów rzymskich sprzedawani bywają na podobieństwo nędznych negrów i przelewają swą krew w interesie tyranów, że wśród was kwitnie handel ludźmi, że miasta wasze są wyludniane i kraje wasze z soków wyssane w tym celu tylko, iżby bezczelnych panów być powolnem narzędziem przy niszczeniu drugiej półkuli?“ Sam fakt, który w ciągu dziesięciolecia (1775—85) wrzał orgią niehamowanej żadnym protestem samowoli nie wywołał oporu w literaturze. Broszurę Mirabeau wykupił i zniszczył landgraf hesseński, główny „handlarz żywego towaru,“ a prasa niezależna prawie nie istniała w tym czasie. Nie wynalazł atoli jeszcze nikt środka na palenie myśli ludzkich i nie potrafił wydrzeć z serca uczuć miłości albo nienawiści — tem bardziej zaś, jeżeli myśli owe i uczucia są tylko rezultatem ukształtowania warunków rozwoju historycznego. Jak silnie owe dziesięciolecie przesycone było pierwiastkami niezadowolenia i burzy, świadczyć może ten fakt, że kiedy w kilka lat później od granicy zachodniej płynąć zaczęła tęcza „praw ludzkich“, zdawało się, że niewidzialna, nadprzyrodzona ręka wybierała z niej barwy najjaskrawsze i rozpalała niemi ognie świadomości niezadowolenia, żądań reform, nadziei na przyszłość we wszystkich zakątkach niemieckich. Jest w tym kontraście kilku lat coś z ironii dziejowej, zawsze tragicznej. Tu sprzedawano ludzi, w ślad za tem — „deklaracya praw człowieka“! Zamiast poddanych — obywatele, zamiast samowoli książęcej — państwo, zamiast pachołków — urzędnicy, zamiast „ex speciali resolutione serenissimi Domini“ — rozporządzenie prawa, w miejsce dzielnicy książęcej — ojczyzna. Taki wpływ w oczach handlarzy ciałem ludzkiem musiały wywrzeć skromne wyrazy „praw człowieczych.“ Oczywiście, kto na ten katechizm przysięgał, był „demagogiem.“ Zaczęły się więc czasy wielkiej reakcyi z trzeciego dziesięciolecia, panowanie Metternicha i szereg obrazów dziejowych, które są aż nadto dobrze znane czytelnikom *Historyi XIX w.* (K. Lewalda). Chodzi nam więcej o psychologię tych obrazów. „Żal mi waszych mężów stanu — mówił hr. Desevre, przyjaciel Niebuhra — prowadzą wojnę ze studentami.“ Z profesorami także i z wszelkim objawem myśli również... Wszystkie strugi niezadowolenia miały możność wezbrać, wyżłobić sobie nowe koryta, spłynąć następnie w jedno wszechniemieckie i wszechnarodowe morze. Była to już istotna powódź. To dzwonił rok 48-y — krótko, bo już rodziła się hydra reakcyi — z nią Bismark. Na czas największej sławy księcia żelaznego, na dziesięciolecie po wojnie francuskiej przypadają takie orgie kapitalizmu, jak epoka *grynderstwa* — wyrazu tego nie można chyba przetłomaczyć na żaden język europejski.

Już rok 48-my był kresem, od którego zaczyna się wielki pochód kapitału. A więc w teoryi ekonomicznej — zasada najwolniejszego współzawodnictwa, w polityce ekonomicznej — hasło wolnego obrotu, ruchu, swobody komunikacyi i t. d. I Bismark był grynderem; kiedy bowiem w r. 1885 z powodu 70-letniego jubileuszu jego urodzin naród niemiecki zebrał był blizko trzy miliony marek, książę zaledwie niewielką część sumy oddał na cele użyteczności publicznej, miliony zostawił dla siebie — ku zdziwieniu naiwnych. Istotą „grynderstwa“ było i jest z bezczelną odwagą przy pomocy oszczerstwa szybko zdobywać bez pracy miliony — „dzięki przyjaznemu zbiegowi wypadków“. Takie właśnie „pomyślne konjunktury“ towarzyszyły działalności Bismarka. Żadnych zobowiązań, a więc żadnej partyi politycznej stworzyć nie mógł wielki pomorski despota, umiał tylko przyciągać i odpychać od siebie jednostki i grupy wedle chwilowej potrzeby i rachunku zysku. Trudno ocenić, jak wielki wpływ na całe Niemcy dzisiejsze starsze i młodsze wywoła ta indywidualność. Jej przypisuje nasz autor „rozkwit“ realizmu niemieckiego w sztuce i literaturze, upadek idealizmu w życiu i nauce, zanik moralności w wielkich miastach. Z nią także zestawia przemijający tryumf nietzscheanizmu.

W jednym z rozdziałów autor bezstronnie i sprawiedliwie ocenia „Udział żydów“ w rozwoju stuletnim Niemiec. Wreszcie kończy swą książkę jak prawdziwy optymista. Nie bolą go oczy od blasków słonecznych, jakimi tryska według niego przyszłość. Pomimo przejęcia się smutkiem historyi naszych czasów, chce dostrzedz wielką zasadę humanizmu, przedewszystkiem w ruchu współczesnym przeciwko wojnie.

Zen. Por.

Prywatne stosunki z muzą.

(Ciąg dalszy.)

Byli w Holandyi dwaj bracia malarze scen karczemnych, bójek i pijatyk chłopskich, — nazwiskiem Van Ostade. Całe cykle podobnych motywów, oddanych z wielkim humorem, znakomitą charakterystyką i brutalnym naturalizmem, wiszą na ścianach starej Pi-

---

ZAKOCHANA.

Helenie Zimajer ofiaruje
Autor.

IV.

KTO TO BYĆ MOŻE?

(wchodzi i czyta:)

„Dobroć Jej wszyscy podziwiać mogą,
„Dla mnie jest tylko gniewną i srogą.
„Oczy błękitne — postać Anioła,
„Na smutek patrzy sama wesoła,
„Biega jak ptaszę, swobodne młodę.
„A drugim pragnie zabrać swobodę,
„Choć kochać wszystkich kazały nieba,
„Ona uważa, że niepotrzeba,
„I mnie odtrąca, serce mi rani,
„A ja bym życie poświęcił dla Niej...

(urywa:)

No, no, no! — dotąd każda zagadka,
Przy rozwiązaniu szła mi jak z płatka,
Tej niedobiegłam nawet połowy,
A już dostałem zawrotu głowy.

(po chwili)

Podał mi kartkę z napisem: „Kto to?“
„Proszę odgadnąć!“ — Ależ z ochotą!
Odpowiedź zaraz będzie gotowa...
Myślę i myślę... pęka mi głowa
I nic wymyśleć nie mogę zgoła.

(w zamyśleniu)

Oczy błękitne — sama wesoła,
Biega jak ptaszę — zawsze jest gniewną...
Już się domyślam! to Mania pewno!
Lecz pocóż taki ton tajemniczy?
Ona tak zawsze dąsa się, krzyczy
I nigdy nie jest zadowolona,
Gniewna i sroga, — to pewnie ona...

(czyta:)

Postać Anioła...

(mówi:)

Ależ mój Boże!
Nie... to nie ona.. Kto to być może?

(zamyśla się)

Aha! już zgadłam. To pewnie Frania,
Ot! i klucz mamy do rozwiązania.
Postać Anioła...

(z szczerością)

Och! taka miła,
I niejednego już zachwyciła

(z uśmiechem)

A przedewszystkiem pana Leona!
Postać Anioła? to pewnie ona.
Dobryś! a oczy? przecież potrzeba.
By miały kolor błękitu nieba,
A jej są czarne jak węgle... Boże!...
Doprawdy niewiem, — kto to być może?

(czyta:)

„I mnie odtrąca, serce mi rani,
„A ja bym życie poświęcił dla Niej.

(mówi:)

Życie poświęcił? to bardzo ładnie,
Ale dla kogo? któż to odgadnie?
Nie, to za trudne, próżna nadzieja!
A zresztą na co... jeśli to nie ja...
Może to bajki, tak sobie plotki,...
Przeczytam jeszcze od pierwszej zwrotki.

(czyta:)

Jej dobroć wszyscy podziwiać mogą,
Dla mnie jest tylko gniewną i srogą.

nakotcki. Otóż pod wezwaniem dwu tych artystycznych łobuzów, lub jeśli kto woli łobuzowskich artystów, powstał tutaj niedawno klub... Składa się nań kółko, jak dotąd niezbyt liczne, ale — dobrane i w blasku dowcipu nieprześcignione. Celem jego ciągłe popisy w tym właśnie kunszcie. Ztąd posiedzenia nader częste, ustawa towarzystwa i własny organ pisany, z ilustracyami. Paru naszych, a między nimi i świeżo wspomniany, dzielnie podtrzymuje blask Ostadyi rozwiozłym żargonem i rysunkami tak... pomysłowymi, tak niepospolitemi artykułami i ogłoszeniami, że sypią się na nich wciąż ordery, rangi i awanse, których ani nazwy, ani znaczenia mimo gorącej chęci przytoczyć nie mogę.

Owóż, jak widzicie, tabaczkowy nasz znajomy, jeśli nawet ma „brzydko w gębie", to jednak... nie zrzekł się klasycyzmu.

Przepada on za towarzystwem dam, z których niejedna znów w ogień poszłaby za niego, zwłaszcza, jeśli trochę nadstarzała. Samowoli jego nie krępuje niczyja obecność, podobno nawet przy pannach potrafi być s o b ą. Nie myślcie jednak, żeby był pieczeniarzem; chociaż koło słońc się obraca, niczyim satellitą nie jest, a jeśli przyjmie smaczną kolacyjkę, to zdaje mi się, — w tem przekonaniu, że płaci za nią monetą, lepszą od złota — dosadnym dowcipem.

Dosadność to wyraz, który go najlepiej charakteryzuje. Jest dosadnym realistą w sztuce, w tym n. p. sensie, że modlącemu się na obrazie żydowi rozdziawia szczerbate usta, tak, że mógłby w nie wjechać tramwaj i jest dosadnym w samym nastroju. Uderza w nim coś gniewnego, co musi mieć swe źródło, nietylko we wrodzonym gargantuiźmie, ale i ukrytej goryczy.

Nie uważałem nigdy, ażeby mówił o swym stanie majątkowym. Z jakiemże zdziwieniem dowiedziałem się pewnego razu, że parę zebrań wieczornych przepuścił, bo nie miał na kolacyę.

Jestem pewien, że gdyby mu ktoś zaproponował chwilowe wygodzenie, zostałby zwymyślanym, jak tylko wymyślać umie Ostadysta, lub jak mam pewność, że przy nowem widzeniu się w Monachium, słowa powyższe zamienią się dla mnie w grad „dosadnych" komplementów. Przeczuwam, że będziemy pękać ze śmiechu.

Ale czas iść dalej. Na kilku kartach nie warto się zatrzymywać. Ten oto układny świątecznie, z miną wiecznie słodką i cedzonemi słowami grzeczności, mały, szykowny, zgrabniutki, żyje co prawda dla sztuki, ale chyba bardziej dla flirtowych podbojów i... wygody. Wszystko, co maluje, wszystko, co ma na sobie i w sobie zdradza dobry guścik, ów gładki i przyjemny smak i typ, które nam stają za pomadki w życiu powszedniem. Tacy w literaturze zakładają szkoły wachlarzowe, a w sztuce — no, i w sztuce inaczej być nie może, prędko więc zaokrąglają swoje wypieszczone ciałka.

Innemi słowy, dla psychologa, nie masz tu ani niespodzianek, ani rysów ciekawych. Jestto rasa pospolita, jak rasa Benjaminków losu i buduarów....

A oto znowu przed nami żyjąca zagadka. Przybywa do „Café Union" z dalekiej dzielnicy. Zaś w pracowni u niego zawsze pełno obrazów w rozmaitych fazach roboty. Tworzy je z łatwością i prawie hurtem, a często i z wielkim talentem.

— Musi być bardzo pracowity, zagadnąłem raz jednego z drużyny.

Odpowiedziano mi pobłażliwym śmiechem. Nikt nie zdołałby objaśnić dokładniej, kiedy i jak te malowidła powstają, bo wiedzą wszyscy, że z miłości dla muzy rywalizuje w nim nie na żarty wielka miłość dla natury i — najpiękniejszych jej stworzeń....

Warto popatrzeć na te białe, pulchne, wypieszczone rączki o palcach wązko zakończonych; wychowanica buduarowych puchów nie pogardziłaby takiemi. A cera twarzy żółtawa i ciało obfite a miękkie mają w sobie coś ze zmysłowości wschodu. Nie słyszałem jednak, ażeby to indywiduum rozmawiało kiedy dłużej o kobietach. Kult niewiast uprawia w ciszy, ale za to ze skupieniem i głębią. Wogóle jest to natura dyskretna, nie zauważyłem, ażeby obcował bliżej i częściej z którymkolwiek kolegą; od czasu do czasu tylko, w niedzielę przy chodził i wcześnie wracał do domu. Jego życie było dla mnie osłonięte pewną tajemnicą i ręczę, że żaden z całej kolonii artysta nie posiada w takim wysokim stopniu daru wystarczania sobie samemu i obchodzenia się bez mężczyzn.

I w nim jest jakaś siła, i to nie mała, jest inteligencya i znawstwo, ale jest też i coś dziwnie pokątnego, może choroba ducha, może choroba kieszeni, ale ta nadprodukcyjność malarska wygląda złowrogo.

Nie wiem dla czego wszystko, co miało z tym człowiekiem styczność, jego osobę, jego pracownię i zwyczaje — widziałem w żółtawem świetle jego fizognomii.

Odwracam kartę...

Właściwie ta, na której znajduje się następna fotografia, powinnaby być z atłasu, a nie brystolu i z lekka wyperfumowana wytwornym, subtelnym zapachem... Bohater jej cały z jedwabiu i adamaszku.

Kiedym przestąpił próg jego pracowni, owionęło mię od razu tchnienie prawdziwej sztuki z pewnym odcieniem zdrowego smakoszostwa. Nawet ta oto modelka, co w tej chwili pozuje na małem wzniesieniu, zdradza w malarzu dobry gust i możność dobierania wzorów nie na tym tanim rynku akademii, gdzie się sprzedają do celów artystycznych szumowinę i wybierki Włoch i Tyrolu.

Żaden z moich dotychczasowych znajomych nie był tak uprzejmy. To światowiec w całem znaczeniu słowa, kocha sztukę bez gorączki, podsycanej zwykle biedą: zawsze i wszędzie pogodny i rozmiłowany w pięknie dla samego wrażenia rozkoszy, a nietylko dla wrażenia podziwu. Świat dziwi się mu, że nie wychodzi z jednego zaklętego koła tematów, zaś inna fama głosi, że najlepsze swe kreacye chowa dla siebie i zdobi niemi własne w kraju mieszkanie, i że to, co publiczność lub handlarze oglądają, nie daje wcale miary jego talentu i skali pomysłowości.*)

Zapewniam cię, iż widzieć dzieła, a nie widzieć ich twórcy — równa się patrzeniu jednem okiem. Cóż mi stąd, że nazywają tego, o którym mówię, „atłasowym", wymawiając wyraz z przekąsem, skoro umysłów tak szeroko wykształconych, tak gruntownie nasiąkniętych wielkiemi tradycyami sztuki, widziałem mało? Skoro w nim i dokoła niego unosi się muza niewidzialna i towarzyszy mu nawet w podróżach do domu, bo i tam maluje, albo rzeźbi... naturalne widoki.

A cóż to za dziwoląg — pytasz, „naturalne widoki"?

Bo to malarz-ogrodnik; potrafi on urządzać klomby, układać grupy drzew, jak prawdziwy artysta z epoki medyceuszów. On pierwszy dostrzeże, że z tego a tego punktu w parku byłby ładny widok na odległe wzgórza lub lasy, i dalejże rąbać wązkie, osklepione [illegible] łęźmi aleje, tak że wzrok przechodzi przez nie, jak gdyby między dwoma szeregami kulis i widzi z daleka naturalną dekoracyę.

Mówią o nim, że dyplomata i ostrzegają, żeby nie brać się na lep słodkich „atłasowych" jego frazesów. A cóż mnie to obc[illegible] kto jest artysta dla siebie, a nie dla tłu[illegible] nie walczy, nie ociera się, nie narzuca, lec[illegible] szem walk i starć unika troskliwie i ma dla wszystkich jedną i tę samą zawsze grzeczną i „dobrze wychowaną" muzę.

Na pożegnanie powiedział mi: literaci i malarze, ach, przepraszam, malarze i literaci powinni się trzymać razem, bo są braćmi po duchu.

Hm... Coby na to odrzekli koledzy jego? A ot co: Brunet z błyszczącam okiem, bujną czupryną i delikatnym, wątłym wyglądem, którego tu oto na innej karcie albumu widzisz, roześmiałby się i wnet nachylił do ucha towarzysza przy stole, ażeby szepnąć żółciową uwagę.

Jednak niewytrzymałby i powtórzyłby ją głośno z „piekielną ironią";

— Aha, nas pan nie chwalisz, bo my literatów nie nazywamy braćmi.

Jota w jotę tę samą śpiewkę zanucił mi, kiedym dla scharakteryzowania jednego z porządnickich malarzy, wspomniał o tem, jak starannie przechowuje w tece fotogramy wszystkich swoich płócien:

— A tak, N. N. jest wielką znakomitością, bo trzyma w porządku odbitki.

Uszczypliwy powiesz. Nie, tylko zgryźliwy. Wyobraź sobie n. p., że nie wszyscy współbiesiadnicy zawtórowali mu śmiechem... Wnet zacznie niespokojnie, podejrzliwie wodzić okiem po całem zgromadzeniu, w rozmowie zwracać się tylko do niektórych, a gdy nadejdzie chwila rozstania, godzina pierwsza w nocy, pożegna towarzyszów dwiema całkiem różnemi metodami.

Jednego będzie trząść ręką mocno i machać nią szeroko z góry na dół i napowrót, jak gdyby badał, jaki łuk może zatoczyć w powietrzu, a drugim poda kilka palców i skłoni się z ironiczną słodyczą.

Całej tej czynności wtórować będzie forsowne, nieumiejętne gwizdanie.

Właściwie powinno być ono miauczeniem, bo wywodzi się z tej części mózgownicy, która bywa siedliskiem „katzenjammeru". Ja bym go nawet przezwał Kociokwickim, bo w tym wyrazie streszcza się cały temperament jego.

*) Na pozór — nieprawdopodobne to, a jednak jakie częste.

(mówi:)

No to wyraźnie mówi o Mani,
I wartoż było pisać to dla Niej?
Ona się tylko dąsa i żali.

(z gniewem.)

Głupia zagadka!

(reflektuje się).

Czytajmy dalej.

(czyta:)

Oczy błękitne, postać anioła,
Na smutek patrzy sama wesoła.

(mówi:)

No! to, — to Frania, jej humor złoty!
Czemuż z tem do mnie? głupie bazgroty!
Ton nawet dla mnie nie odpowiedni,
Ja mam się uczyć, nie czytać bredni,
Aha! jest pomysł! najlepiej zrobię,
Jeśli od końca przeczytam sobie,
Bajki nie bajki, plotki nie plotki,
Ja od ostatniej spróbuję zwrotki."

(czyta:)

„Przez Nię oddycham wieczną tęsknotą,
„I żyję smutkiem... wszak wiesz już: Kto to?
„A jeśli nie wiesz mała despotko,
„A chcesz zobaczyć twarzyczkę słodką,
„O której ciągle marzę i roję,
„Spojrzyj w lusterko lub w serce moje-"

(mówi:)

Lub w serce moje? Ach! Bogu chwała!
Śliczna zagadka! Ja choćbym chciała,
Tak pięknie nigdy wierszy nie złożę.
„Spojrzyj w lusterko!"

(śmieje się.)

Kto to być może? —
Doprawdy nie wiem...
„Lub w serce moje"...
Wolę już lustro, tylko się boję,
Bo lustra czasem zmieniają twarze.
Więc niechaj swoje serce pokaże,
Jeśli, w niem znajdę wierne odbicie,
Patrzeć się będę przez całe życie.

Wincenty Rapacki. (syn).

Przychodzisz do jego „ateliié“ stajesz, przed sztalugami, patrzysz z uwagą na płótno to z blizka to zdaleka, ale jeszcze uważniej przez cały ten czas patrzy na ciebie autor, śledzi spojrzenia, miny, ruchy, nie dla obserwacyi, ale by z twarzy widza wyczytać, co sądzi o obrazie. Wreszcie odzywasz się. Biada ci, jeśli chwalisz, — bo spojrzy ironicznie, z ukosa i powie, że nie masz pojęcia o sztuce, albo żeś pochlebca: on wierzy oczom, ale nie mowie.

Ale biadą ci, jeśli swe zdanie sformułujesz, niepewno, niestanowczo, bez oczywistego zapału. Wówczas powie ci, że... nie masz pojęcia o sztuce. Ale spróbuj, zwiedzając inne pracownie, o nim na jakiś czas zapomnieć. Będzie się gryzł tak, jak gdyby ci dał przedtem albo przeznaczył w duchu patent znawstwa. Bo jest rozpieszczony i etykietalny i drażliwy.

Wiecznie podejrzliwy i niezadowolony, mówi wciąż o sobie i tylko o sobie; co dzień tłoczy go inna obawa; miasto, dokąd wysyła swój obraz ostatni, jest „gniazdem intrygantów, nicponiów i zazdrośników“: jutro awansuje ono na miasto „poczciwe w gruncie i bezstronne“, ale płótno jego „zostanie źle umieszczone“. Dziś, pogrąża się cały w czarnej melancholii i zwątpieniu i przeczuwa same *fiasca*, jutro otrzymawszy wiadomość o odznaczeniu z wielkiej dumy i uciechy odchodzi od przytomności.

Warto było widzieć, jaką minę w jednym takim wypadku zrobił znajomy nasz Ostadysta; ustroił się w wielką, współczującą przewagę i zagadnął:

— I ty sądzisz, że oni naprawdę twych „Cyganów“ kupią i złotym medalem nagrodzą. Hm, także trzeba naiwności. Czy nie widzisz, że cały ten telegram to mistyfikacya. Jasne jak słońce, że ktoś sobie zadrwił z ciebie.

Cezary Jellenta.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA KRAKOWSKA.

Kraków, 25 grudnia.

(Rozprawy budżetowe. Restauracya. Wybór radzców miejskich. Miscellanea.)

Samorząd gminny tworzy niezliczoną ilość drobnych państewek, pomiędzy któremi zwłaszcza większe miasta przypominają swym ustrojem małe Rzeczpospolite. Ich Rady miejskie to Parlament, sekcya tych Rad to ministerya spraw wewnętrznych, skarbu, oświaty, handlu, komunikacyi — prezydyum to rząd, a magistrat to władze wykonawcze. Ztąd też, kiedy przychodzi do uchwalenia budżetu miejskiego, panuje wielka radość pomiędzy członkami małego Parlamentu. Wprawdzie preliminarz budżetu, jako będący owocem poważnego opracowania i porozumienia się między sekcyami uchwalony bywa zazwyczaj bez żadnych zmian, zgodnie z wnioskami referenta, właściwie zatem szkoda tracić czas na dyskusye jałowe, ale jak tu pominąć najlepszą sposobność do mówienia o wszystkiem i o niczem, do popisania się z wymową, z troskliwością o sprawy miasta, z zaznaczeniem nawet swoich przekonań społecznych i politycznych, swoich poglądów na handel, oświatę, sztukę, filantropią i inne rzeczy. Już sama tak zwana ogólna rozprawa budżetowa pozwala na upust uczuć i myśli we wszelkich kierunkach, bez oznaczonego bowiem wyraźnie przedmiotu dyskusyi, można płynąć wspaniale po morzu budżetowem.

Taką szczęśliwą chwilę przechodzi obecnie Rada miejska krakowska.

Z dyskusyi na pierwszem budżetowem posiedzeniu, pomijając rozliczne skargi, uwagi i wnioski, dowiedzieliśmy się paru ciekawych i więcej obchodzić mogących szczegółów. Dyrekcya kasy oszczędności gotową jest przedłożyć swemu wielkiemu wydziałowi projekt, aby część tegorocznych czystych zysków kasy przeznaczyć na restauracyę Kościoła św. Krzyża, jednego z najcenniejszych i najoryginalniejszych zabytków architektury krakowskiej. Kościół ten, wznoszący się obok gmachu nowego teatru, znajduje się w opłakanym stanie i tylko prędka restauracya może go od zniszczenia ocalić. Budownictwo miejskie wypracowało już plan restauracyi, ale w planie tym pozwoliło sobie na dość daleko idące przeróbki, co nie zgadza się ze słusznem zapatrywaniem, iż zabytek ten powinien być zachowany, a nie przerabiany. Rada miejska zatem mająca już fundusz zapewniony, powinna jedynie powołać do życia komitet ze znawców i konserwatorów i przygotować według ich wskazówek plany restauracyi. Podniesiono również życzenie wyrestaurowania w ciągu roku przyszłego wyższej wieży Kościoła N. P. Maryi i zburzenia „wikarjówki“ przy tym Kościele istniejącej, przez co połączonoby Główny rynek z Małym rynkiem.

Mówiono również o upiększeniu miasta przez rozwój spacerów, a mianowicie przez zakupno poblizkiego lasku. Rzucono wreszcie projekt odwrócenia łożyska Rudawy, płynącej przez Błonia pod mogiłę Kościuszki, przez co podniosłaby się wartość gruntów na Błoniach i miasto mogłoby się rozszerzyć w tym kierunku.

Na końcu tego pierwszego posiedzenia budżetowego Rada miejska nadała obywatelstwo honorowe hr. Kazimierzowi Badaniemu, namiestnikowi Galicyi. Sprawdziła się zatem pierwsza część moich zeszłotygodniowych informacyi tyczących się planu udzielania obywatelstw honorowych przez Radę krakowską.

Wybór uzupełniający dwóch radzców miejskich został już dokonany. Wprawdzie obojętnem jest dla świata, a bodaj czy nie dla Krakowa, kto wyszedł z urny wyborczej, ale zawsze wybory te dostarczają materyału do charakterystyki naszych stosunków. Konserwatyści mieli swoich kandydatów, liberali swoich. Pierwsi z nich posunęli się tak daleko, że aż odezwą podpisaną przez wybitne osobistości, zachęcali naród do wybrania tych, a nie innych kandydatów. Mniejsza o odezwę, ale podpisy były ciekawe. Wybór odbywał się z mniejszej własności tj. z łona właściwego mieszczaństwa, a podpisani byli tacy panowie, którzy w tem kole nie mają prawa głosu.

Czy nie śmiesznem jest np., że p. Andrzej Potocki, nie wyborca tego Koła, narzuca wyborcom dwóch panów i to takich, którzy nie przedstawiają żadnej siły, nie mają w mieście żadnego znaczenia, którzy ani niczem nie okazali swoich zdolności, ani niczem miastu się nie zasłużyli. Ktoś mi powiedział, że wolno każdemu popierać, — zapewne, że wolno, ale tak samo, jak wolno każdemu obywatelowi państwa austryackiego wystosować odezwę do obywateli Stanów Zjednoczonych, zalecającą kandydata na prezydenta. Wolno jest, ale czy wypada mieszać się w nieswoje rzeczy!? ! Jak zresztą zważają wyborcy na głos wielkich ludzi naszych stronnictw najlepszym dowodem był sam wybór, ponieważ wyszedł z niego wspólny kandydat obu potęg i pewien kupiec, którego nie popierali ani konserwatyści, ani liberali. Kiedy drugi kandydat konserwatystów miał głosów 70, a drugi kandydat liberałów aż 34, to ów kupiec otrzymał głosów 180, bo powiedział sobie: „Czy mnie chcą, czy nie chcą, będę wybrany, bo moją kieszeń stać na to, aby drwiła sobie i z konserwatystów i z liberałów.“ Zwycięztwem chlubić się mogą jedynie ajenci, którzy się zawsze dobrze obławiają, biorąc co się da od każdego, co chce mieć zaszczyt, lub ma interes zasiadania w Radzie miejskiej. W rękach tych panów spoczywają *de facto* trzy miasta, bo oni wybierają radców, a nie kto inny i są tak grzeczni, że liberalne swe przekonania odstępują za gotówkę konserwatystom, konserwatywne liberałom, a nawet tak wysoko cenią swe zdanie, że interesa obu tych wielkich stronnictw gotowi porzucić na rzecz każdego, co prywatną swą ofiarnością przewyższy ofiarność stronnictwa. I takie wybory nazywają się wolnym wyborem obywatelskim i wybrani w ten sposób radcy twierdzą, że powołało ich do Rady zaufanie ogółu.

Burza w Towarzystwie muzycznem jeszcze się nie uspokoiła. Czytałem petycyę wystosowaną przez znaczną ilość członków do nowego prezesa, w której proszą go podpisani o przywrócenie powagi przepisom statutu. Idzie o to, że w komitecie Towarzystwa zasiada tylko dwóch delegatów artystycznych, zamiast czterech, a natomiast, mają w nim głos stanowczy pp. Zeleński, dyrektor konserwatorium i p. Barabasz, dyrektor Towarzystwa, którzy według statutu mają tylko głos doradczy. Jestto przeciwne zresztą nietylko statutowi, ale i logice, bo obaj ci panowie są płatnymi funkcyonarjuszami Towarzystwa, nie mogą mieć więc głosu stanowczego w komitecie, który ich mianuje, wyznacza im pensye, przepisuje zakres działalności i działalność tę kontroluje.

Towarzystwo lekarskie krakowskie wybrało swoim przewodniczącym prof. dra Walentowicza.— Mylnemi się okazały wiadomości dzienników, iż po śp. kardynale pozostała kwota 50,000 złr. na restauracyę katedry na Wawelu, fundusze bowiem na ten cel przeznaczone wynoszą nie całe 10,000 złr. — W salach Towarzystwa sztuk pięknych wystawiono cykl szkiców Matejki do obrazów zdobiących aulę politechniki lwowskiej.— Bawi w Krakowie pani Emilia z Gerardów Łaszowska, żona emerytowanego jenerała austryackiego, angielka z rodu, znana w literaturze angielskiej z prac beletrystycznych, pomiędzy któremi znajdują się utwory oparte na stosunkach polskich. — Krakowskie Towarzystwo techniczne przesłało adres uznania p. Stanisławowi Kosińskiemu, kierownikowi budowy kolei żelaznej Stanisławów-Woronienka. — „Nowa Reforma“ zapowiada druk powieści Elizy Orzeszkowej pt. „Australczyk.“ — P. Jerzy Moszyński wydał onegdaj obszerną broszurę polemizującą z „Rzeczą p. Koźmiana. Pan M. jest skrajnym konserwatystą, co mu nie przeszkodziło z gwałtownością uderzyć na autora „Rzeczy.“ Broszura ciekawa, a gdyby autor mniej mówił o sobie, byłaby jeszcze ciekawszą.

K. Bartoszewicz.

KRONIKA LONDYŃSKA.

Londyn, 20 grudnia.

(Z teatru: premiery zapowiedziane i wystawione. — Z galeryi obrazów. — Nasi artyści: Boznańska, Roszkowski, Reyzner. — Misya i Towarzystwo polskie.)

Świat literacki stoi obecnie przed teatrem z wielkiem oczekiwaniem. Zapowiedział nowy utwór Oskar Wilde, utalentowany literat krwi irlandzkiej z zacięciem paryzkiem, znany zarówno z swych paradoksów i komedyi, jak wprowadzenia w modę zielonych, t. j. farbowanych gwoździków w butonierkach i pokazywania się publicznie przed kurtyną — z papierosem. Król dramaturgów Artur Pinero pracuje z górą półtora roku nad nową sztuką, w obawie, aby nie spaść z zenitu i nie rozczarować publiczności zachwyconej „Drugą żoną pana Tanqueray“. Tymczasem rozrywamy się Ywetą Guilbert i komedyami panów H. A. Jones'a i Haddon Chambers'a. Zgodnie z hasłem chwili obie sztuki: „Harda Zuzanna“ i „Jan Marzyciel“, osnute są na tle społecznem, a mianowicie *autour du mariage*. Nie brak w nich nieodzownego sceptyka, nie brak także upadłej kobiety lub mającej upaść. Publiczność angielska okazuje się dziś zdolną strawić wszystko z wyjątkiem. „Widm“ Ibsena, podczas, gdy nie wiele lat temu raził jej smak widok kobiet „z przeszłością“ jako wysoce „shocking“. Cóż powiedziałby na to nieboszczyk Taine odczytując swoje „Notatki o Anglii“? Signum temporis!

Przypomina się łacina, gdy ma się wyciągnąć kwintesencyę poważnie zakrojonej komedyi

pana Jones'a. Zuzanna, lady Harabin, zamiast podać o rozwód, opuszcza niewiernego męża, zastrzegając sobie wszelką swobodę, lecz, gdy zakochana u stóp piramid ma rzucić się w objęcia kochanka, wuj jej sceptyczny, sędzia rozwodowy, a zatem expert w kwestyach sprzecznych, roztacza nad nią swą opiekę. Kochanek wyjeżdża i przesyła hrabinie część ślubnego ciasta, zwyczajem angielskim, na którego widok Zuzanna powraca do męża. Przysłowie bowiem mówi: lepszy rydz jak nic.

P. Haddon Chambers, nie mniej od autora „Hulaków" panujący nad techniką, przedstawia nam do drugiej pani Tanqueray podobną kobietę upadłą, która wodzona na pokuszenie przez czarny charakter, okazuje się aniołem i wychodzi ostatecznie za poetę, który zażywa opium, pisze wiersze, nie sypia przez sześćdziesiąt godzin i podpisuje dokument podsunięty mu przez ów czarny charakter. Założenie sztuki i kilka postaci z fin de siècle bardzo ciekawe, całość jednakże zamienia się pod piórem młodego autora w melodramat, w braku filozoficznego poglądu na świat.

Galeryi obrazów stoi otworem około tuzin. To nazywa się, że w sztuce panuje zastój, chociaż o tej porze w istocie frekwencya jest niewielką i wystawy wogóle nie tak świetne. Kolekcya dzieł zmarłego w tym roku Charles Jacque przedstawia nam wybitny ten talent w całej pełni. Nie dość, że stwierdzamy ponownie świetny sposób malowania owiec i drobiu, efekty świetlane i atmosferyczne, lecz pokrewieństwo duchowe Jacque'a z Corot'em narzuca się oczom w głęboko odczutych krajobrazach, pełnych prostoty i poezyi. Znany portrecista p. I. I. Shannon zaprezentował się świetnie w New Gallery. Najsłabszym bodaj jest szkic-portret Józia Hofmana przy fortepianie, chociaż z pewnością bardzo efektownym. Czarno ubrany wirtuoz na tle czarnym nie posiada wszystkich cech, charakterystych, prócz Rubinsteinowskiego ruchu ręki. Artysta widocznie przejął się stylem Whistlera, który wszakże wymaga więcej subtelności. Całość tu jednak mimo, że za twarda, przedstawia się wdzięcznie, bo nic coby nie były artystycznem, nie wychodzi z pod jego pędzla. Trudno nie zaakcentować pokrewieństwa, jakie zachodzi pomiędzy sposobem malowania Olgi Boznańskiej i Whistlera, pokrewieństwo, które samo przez się mówi wiele o talencie artystki. Portret śpiewaczki Maryi Brema, umieszczony niby to w dobrem miejscu, wisi niestety za wysoko, a że jest harmonią szarych i żółtawych barw — notabene delikatną i wytworną — widzianą po przez cień, zatem nie wpada w oko i tej okoliczności tylko przypisuję, że nie zauważyło go dwóch krytyków, których sąd przytoczyć pragnąłem, a których posłuchać bardzo warto.

Na mało uczęszczanej wystawie „kontynentalnej" spostrzegłem w oknie wystawowem obraz Jana Chełmińskiego, a w sali dwa obrazy polskich malarzy: Roszczewskiego i Mieczysława Reyznera. Obrazek pierwszego przedstawia piastunki na schodach przy rue de Mont Canis, skąd daleki widok na Paryż. Praca ta ucznia Maillart'a, żywa lecz nie jaskrawa w kolorycie, perspektywiczna i sumiennie wykończona, dowodzi nie małej techniki i miłe robi wrażenie. Uderza jedynie, że piastunki mają oczy zwrócone w jedno miejsce, widocznie na malującego artystę. Żona rybaka Reyznera, to staruszka o suchej czerstwej i sympatycznej twarzy. Stoi przy oknie i z troską w oczach spogląda w dal na siną toń uśpionych wód. Część muru przy oknie, na boku obrazu, podnosi efekt kompozycyi, nastrojonej na nutę elegii. Smutek kobiety nie koniecznie jest zrozumiałym, bo niebezpieczeństwo żadne nie zdaje się zagrażać rybakom, lecz mimo to widz odbiera wrażenie podniosłe.

O kolonii polskiej oddawna należało mi się wspomnieć. Zawiniłem, lecz przyrzekam poprawę — na ten rok. Na usprawiedliwienie jedno muszę powiedzieć ogólnikowo, że chcąc być istotnie dobrze poinformowanym, musiałbym utrzymywać płatnego detektywa, któryby wnikał aż do jądra spraw i rozsnuwał tkaninę różnych partyjno-osobistych motywów, oraz notował wszelkie prądy zmieniające front i barwę z szybkością kalejdoskopu.

Misyi powodzi się widocznie dobrze, bo ks. prałat Bronikowski wynajął nieruchomości składające się z kaplicy i dwóch domów, których czynsz roczny wynosi 120 f. szt. (2400 marek.) Jeden z domów zamieszkuje sam, drugi przeznaczył do wynajęcia. Msze i kazania odbywają się teraz przy Globe Royal, East.

Towarzystwo polskie zajmuje lokal pod n. 134tym, przy City Royal, City, ... Wysechł mi atrament. Muszę przeto zakończyć — życzeniem, aby gwiazdor przyniósł towarzystwu pięknych pomysłów mnóztwo.

Nobody.

Z estrady i sceny.

(Górą nasi. Komedya w 5 aktach Kaźmierza Zalewskiego.)

Górą nasi! — lubię ten utwór Kaźmierza Zalewskiego, skreślony w owych pamiętnych chwilach, gdy, podobnie jak dzisiaj, Warszawa pieściła się nadzieją reform konstytucyjnych.

I wtedy fantazya tłumów snuła barwne proroctwa o samorządach miast, wyborach politycznych, parlamentach i sejmach, a zuchwalsi rzucali nawet na papier obrazki „z państwa przyszłości". Niestety zawiodły marzenia, że „c... oswobitiel" zasiadł na tronie rosyjskim, zamiast swobody politycznej, nastał przerażający mrok niewoli, — noc najbrutalniejszej reakcyi i ucisku. Zostały jednak w literaturze ślady owych gorączkowych oczekiwań i wiary w upragnioną konstytucyę, a taką właśnie spuścizną jest utwór Kaźmierza Zalewskiego. Wybory w Warszawie, miasto szuka sobie prezydenta, arystokracya walczy z demokracyą, żyd spekulant z reprezentantem najszlachetniejszych uczuć obywatelskich, wszystko to być miało, wszystko to być mogło, wszystko to istnieje — w komedyi.

Rzeczywistość niestety inną ma fizyognomię od teatralnego życia, a charakterystycznym jej wyrazem było zamknięcie teatrów i drukarń warszawskich dla utworu autora — fantasty.

Nad wartością komedyi „Górą nasi" zastanawiać się nie będę, bo sztukę tę grano w latach dawniejszych dość często na poznańskiej scenie, a prasa niezawisła od cenzury rosyjskiej, oceniła wyczerpująco jej artystyczne zalety. Powiem zatem tylko, że utwór ten jest jedną z najcenniejszych, jeżeli nie najcenniejszą pracą Kaźmierza Zalewskiego i zaleca się tak poprawną budową, tak mistrzowskim rysunkiem typów, że z żalem spoglądałem na pustki przerażające, któremi w ubiegłą sobotę świecił nasz teatr. Lękałem się nawet nieco, że pustka ta podziała ujemnie na grę artystów naszych, bo „horror vacui" jest charakterystyczną cechą wielu aktorów. Próżnia ich ziębi, irytuje, pozbawia nerwu dramatycznego, a najlepiej artysta gra wtedy, gdy ócz tysiące na niego spogląda a w duszy szepce ambicya: Tam tłum! Talentem swoim ty serce jego zdobędziesz i duszą jego zawładniesz.

Nie ziściły się jednak na szczęście obawy moje. Ze sceny nie wionął ku mnie chłód i lekceważenie tej pustki, lecz silne tchnienie prawdziwej dramatyczności i serdeczne ciepło artyzmu. Trzy główne role męzkie spoczywały w rękach panów *Sosnowskiego, Trapszy i Skirmunta*, a tercet ten był istotnie objawieniem wybitnych talentów i niepospolitej rutyny scenicznej.

Ten Sybirak szlachetny, któremu wśród lodów północy, walk i tęsknoty za krajem śron siwizny przedwcześnie włosy przyprószył, ten rozumny patryota, któremu żaden ból serca nie zamroził, ten zwycięzca żydów — spekulantów i mitrowych kandydatów do prezydyalnego krzesła znalazł w panu Sosnowskim odbicie wierne o barwach pełnych i świeżych.

Staranna w najdrobniejszych szczegółach charakterystyka fizyognomii i ruchy nieco twarde, bojaźliwe, mieściły w sobie wszystkie zewnętrzne znamiona typu, wyróżniając postać bohatera z liliputiego rojowiska ludzi, wykarmionych atmosferą bankierskich salonów. Zauważyłem niejednokrotnie, że pan Sosnowski jest mistrzem w podchwytywaniu drgań chorobliwych duszy schyłkowej, że lubię go w rolach takich nerwowców, jak Wilhelm w „Końcu Sodomy" lub Jakób Warka w dramacie Zglińskiego, to też z pewnem zdziwieniem spoglądałem na kreacyę jego w ubiegłą sobotę. Ten wyczerpany dekadent zamienił się w postać jędrną, zdrową i silną, ta odstrojona harfa grała mi pieśnią tak świeżą, tak pełną wiosny i życia, że zdolność metamorfozy takiej pozwala artyście poznańskiemu najchlubnieisze wystawić świadectwo.

Podobnie i talent pana Marcelego Trapszy święcił tryumf prawdziwy w roli wioskowego szlachcica o ciasnym widnokręgu, ciasnem sercu i wzruszajacej naiwności. Postać ta wprawdzie jest tak silnie narysowaną przez autora, że odcyfrowanie jej zmian charakterystycznych nie przedstawia żadnych trudności, ale tylko talent prawdziwy wsączy w ten zanikający typ szlacheckiego ziemianina tyle jowialnego życia i naturalnego humoru, ile pan Trapszo rzucił w tę głęboką próżnię, ziejącą w sobotni wieczór przed rampą. Ta pewność, z jaką artysta nasz stąpał po deskach, ten rozczulający rozmach z jakim reprodukował mowę przyszłego prezydenta, to miękkie serce szlacheckie, które grało w jego oczach i słowach, były to istotnie takie momenty, których publiczność nie zapomina wraz z zapadnięciem kurtyn i które tak głęboko zapisują się w duszy, jak niegdyś gra tego samego artysty w roli *Minowskiego*. Cóż mówić mam o panu Skirmuncie w roli dziennikarza — rezonera? Nie odsłonił nam ten stary przyjaciel sceny poznańskiej nowych pierwiastków talentu swojego, nie błysnął oryginalnością artystycznego tworzenia, ale ukazał znowu jedną z owych postaci szlachetnych i rozumnych, które zalicza do najlepszych atutów repertuaru swojego. Znamy jego Trasta z Honoru, — jego Józwowicza z dramatu „Na jedną kartę" jego lękarzą — nie pomnę nazwiska — z „Najserdeczniejszych" i wiemy, ile dystynkcyi, ile elektryzującej siły przekonania bywa w rezonerskich typach artysty naszego. Wszystkie te zalety cechowały grę pana Skirmunta w komedyi Kaźmierza Zalewskiego, podbijając serca tej garstki „wiernych", którzy mimo przedwilijnych ambarasów sobotni wieczór spędzili w teatrze.

Z innych artystów zapisuję z uznaniem nazwisko p. Królikowskiego, choć nie zupełnie zgodzić się mogę na pojęcie odtworzonej postaci. Nie żądam wprawdzie, aby potentat finansowy sięgający po laskę prezydenta, uzewnętrzniał cechy parweniusza żydowskiego, ale w kreacyi naszego artysty było tyle wytworności, tyle arystokratycznej *„gentilezzy"*, że oko moje widziało bezustannie na scenie magnata z krwi i kości. A przecież to parweniusz w pierwszej generacyi, to początkowy szczebel w dynastyi miljonerów. Panna *Wróblewska* w roli wielkoświatowej „damy politycznej" rozwinęła wiele elegancyi, dystynkcyi i wdzięku, — miejscami tylko zgrzytnął dysonansem fałszywy dźwięk afektacyi. Grę pana *Trochaski*, w roli opiekuna Szląząków, znamionowało sympatyczne tchnienie młodzieńczej poezyi, szczerość i jakieś serdeczne zakłopotanie, a pan *Benza* naprawił fiasco swoje w Learze charakterystyczną, pozbawioną wszelkiej przesady indywidualizacyą żydowskiego typu Schwindelmanna. Młodziutka panna *Trzcinska* w roli starej bigotki była prawdziwą ofiarą krytycznego zmysłu dyrekcyi i reżyseryi naszej. Wywierała ona takie wrażenie jak gdyby pan Dobrowolski wystąpił w roli naiwnego podlotka lub pan Fjałkowski zagrał nam — Kordelję. *Tableau*! Zapisując w końcu z uznaniem grę pani *Trapszowej*, pana *Rapackiego*, i pana *Łaskiego*, czuję się zniewolonym zaprotestować ponownie z całą energją przeciw bezprzykładnemu zaniedbaniu pamięciowej strony

w grze artystów naszych. Te sentymentalne spojrzenia rzucane w głąb budy suflerskiej, to haczenie się dyalogów, ten ensemble z milowemi przestankami obniżają wartość każdego niemal przedstawienia i denerwują w najwyższym stopniu publiczność. *W. R.*

NA WYŁOMIE.

Słówko o dziennikarskich kalumniach. — Potrzeba stowarzyszenia prasowego i sądów honorowych. — Najnowszy proces. — Obraza o oszczerstwo.

W ostatnich latach życia naszego zakradły się dziwne stosunki do poznańskiej prasy. Publicystyka nasza, to wielki koncert skłóconych żywiołów, to bój niemiłosierny różnorodnych potęg, dla których nie ma prawideł i karbów, lecz, jak w zapasach żandarmów z opryszkami, świętością jest każdy środek, wiodący do celu. W ubiegłym tygodniu przedstawiłem czytelnikom „Przeglądu" czarującą próbkę dziennikarskich kalumnii i pod pręgierz opinii publicznej zawiodłem tego, który, przerażony ideą żałoby narodowej, zwolennikom jej rzucił oszczerstwo, że wzorem szpiclów osławionych kuszą naród za „*niemieckie srebrniki.*" Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek w prasie poznańskiej do takiego bezwstydu posunęło się ostatnie z czasopism — nie przypominam sobie, aby w polemice o sporne idee polityczne operowano u nas mianem „płatnych szpiegów", kandydatów do szubienicy — to też nie zdziwili się zapewne czytelnicy moi, że z całym wstrętem uczciwego człowieka, który w walce o zasady studzien nie zatruwa i jeńców nie zarzyna, napiętnowałem bezprzykładny wybryk dziennikarski. „Goniec Wielkopolski", przeciw któremu w pierwszym rzędzie wymierzoną była garść błota, ciśnięta ręką „Kuryera Poznańskiego", odpowiedział na oszczerstwo krwawą obelgą, a w obec doniosłości kalumnii nikt nie ma prawa skarżyć się na jaskrawość odpowiedzi.

Czas jednak najwyższy, aby temu importowi amerykańskich „Kickerów" raz wreszcie koniec położyć. Pomyślcie tylko! Klerykalny „Kuryer Poznański" woła: „Na szubienicę wy płatne szpiegi niemieckie!" Narodowy „Goniec Wielkopolski" odpowiada: „Pluję na artykuły twoje „Kuryerze"! Ani słowa! czarujące stosunki. Tylko energiczna inicyatywa — nie „ludzi ładu i porządku", — lecz ludzi rozumu i serca — tylko ujęcie prasy w ramy korporacyjne — może tej truciźnie dziennikarskiej przeciwdziałać skutecznie, chociaż tajnem mi nie jest bynajmniej, że przeprowadzenie dziennikarskich stowarzyszeń, czuwających nad etyką stanu, napotkać musi w naszych warunkach niesłychane trudności. Znam wielki związek w Berlinie, który pod firmą „Berliner Presse" zgromadził ku obronie wspólnych interesów wszystkich niemal publicystów stolicy niemieckiej. Związek ten ma swoje wspaniałe kasyna, swoje fundusze półmilionowe, swoje kasy inwalidów, wdów i emerytów, wreszcie swoje sądy honorowe, które niegdyś wpływ nader dodatni na stosunki prasy wywierały. Wyrok ich działał jak piorun, poddawano mu się bez protestu i lękano więcej niż urzędowej Temidy. Z czasem przygasła aureola dziennikarskich sądów, bo z tą samą chwilą, gdy berlińska publicystyka stała się żydowską, zamieniło się wielkie stowarzyszenie prasowe na chemiczną pralnię, służącą ku puryfikacyi nieczystych rąk i splamionych honorów najróżniejszych rycerzy pióra z pod ciemnej gwiazdy. Nie sądzę jednak, aby stowarzyszenie takie, założone w innych warunkach i powołujące innych ludzi na trybunę sądową, *musiało* równemi stąpać torami i zamiast karać zbrukane dłonie, myć je usłużnie wodą, benzyną i mydłem. Wierzę przeciwnie, że związek dziennikarski, ogarniający całą prasę polską pruskiego zaboru, mógłby na stosunki nasze oddziałać uzdrawiająco, ale trzeba mieć wiele energii i wytrwałości, aby nasze powaśnione żywioły ująć w karby stowarzyszenia. Tylko niech projektu tego „najstarszy z dziennikarzy" w swoje nie ujmuje ręce, bo doczekamy się znowu podobnego rezultatu, jak z ową słynną kasą dziennikarską, której plan pomyślnie zapoczątkowany, tak długo i tak gorąco rozwijał nasz senior, aż kasa utonęła w czeluściach niepamięci.

Stowarzyszenie dziennikarskie, zaopatrzone pewną juryzdykcyą, staje się u nas postulatem palącym, a oparte na regulaminie rozumnym, mogłoby tamę położyć owym procesom kryminalnym o obrazę i oszczerstwo, które z dnia na dzień mnożą się na poznańskim bruku. Oczywiście nie skreśliłoby ono potężnem „Stań się" injurii różnego gatunku z pism i pisemek — ale niejeden proces prasowy rozgrywałby się może przed kratkami sądu honorowego i grzywny płynęłyby do kas filantropijnych instytucyi polskich, zamiast do głodnego żołądka rządu pruskiego. Owe 500 marek, które redakcya „Gońca Wielkopolskiego" zapłaciła przed niedawnym czasem za obrazę p. dr. Łebińskiego, stanowiłyby niezawodnie piękną pozycyą w księgach Kościuszkowskiego funduszu. A może i ten najnowszy proces, który w ciceronowym artykule zapowiedział wczoraj „Kuryer Poznański" znalazłby w stowarzyszeniu dziennikarskiem sprawiedliwych rozjemców, przysparzając Czytelniom ludowym upragnionych subwencyi. Dziwi was niezawodnie ta ciceronowa zapowiedź procesu. Gwałt! Co się stało? Czy miny kto podłożył pod ratusz poznański?

Czy jaki „Massenmoerder Thomas" lub „Kuba rozpruwacz" wpadł w ręce policyjnych ajentów? Uspokójcie się! Druk ciceronowy w „Kuryerze Pozn." nie oznacza bynajmniej doniosłości przedmiotu, lecz mówi tylko ogromem czcionek swoich, że artykuł został „i n s p i r o w a n y" lub żywcem nadesłany z „p o w a ż n e g o ź r ó d ł a". W rzeczy samej jest to drobnostka. przypominająca jedynie przysłowie: „*Tant de bruit pour une omelette.*" — lubo „Kuryer Pozn." stara się wmówić w czytelników swoich, że winowajcy przestali być w mgnieniu oka *katolikami i Polakami.* Posłuchajcie! Przed kilku tygodniami zamieścił „Postęp" i „Goniec W." wiadomość, że w dzień WW. Świętych pracowano w czasie nabożeństwa „pod bokiem arcybiskupa" nad renowacyą Tumu poznańskiego. „Kuryer Pozn." i „Dziennik" zaprzeczyły wprawdzie tej informacyi, ale oskarzyciele oświadczyli kategorycznie, że zeznaniami świadków naocznych poprą każdej chwili twierdzenia swoje. Nastała długa chwila trwożnego wyczekiwania, aż nareszcie po upływie kilku tygodni pękła bomba w „Kuryerze Poznańskim": Drżyjcie winowajcy! Wstępujemy zatem w rok 1895 pod znakiem procesu. Jakim będzie rezultat jego, mimo całej domyślności powiedzieć nie umiem, a w hazard proroczy bawić się nie chcę. Z jednej strony trudno przypuścić, aby „*wyspa tumska*" narażała się na śledztwo sądowe, nie będąc absolutnie pewną niewinności swojej i wygranej — z drugiej dochodzą mnie posłuchy, że osoby rzekomo pracujące w czasie nabożeństwa tłomaczyły się z postępków swoich przed jednym z redaktorów poznańskich, prosząc o milczenie. Po czyjej stronie jest racya, wyrok niebawem rozstrzygnie, bo nie przypuszczam ani chwili, aby interesowane osoby zadowoliły się procesem o „*formalną obrazę*" zamiast w skardze sądowej uwydatnić charakter „oszczerstwa" i zażądać dowodu prawdy. Zasądzenie „Gońca" i „Postępu" za prostą injuryę nie miałoby dla mnie wartości realnej, bo przypominam sobie słowa jednego z wybitnych jurystów niemieckich, który niegdyś w roli prokuratora tak się wyraził:

„Wygrany proces o obrazę (Beleidigungsklage) nie uprawnia oskarzyciela do orzeczenia: Oskarzono mnie fałszywie! — lecz jedynie do twierdzenia: Opowiadano o mnie fakty ubliżające. (Beleidigende Thatsachen). Człowiek oburzony niesprawiedliwością skarży o oszczerstwo, (Verleumdung) — o formalną obrazę skarży ten tylko, kogo publikacya niewygodnej prawdy rozgniewała".

Oto jest jedyne rozumne stanowisko w tej sprawie i nie wątpię ani chwili, że noworoczny proces na takim, nie na innym stanie fundamencie.

Sulla.

Echa poznańskie

Gdzie szukać humoru? Leszczyński. Słówko o Teatrze. Trapszo. Górą nasi. Humor w erotyce.

Słyszałem nieraz uskarżające się głosy, że prasa poznańska nie posiada swojego humoru, ale musi go zapożyczać od pism Warszawskich i niemieckich. Rozumiem przez to brak pisma humorystycznego. W istocie Warszawa, Lwów i Kraków, kąpią się w dowcipach satyrach i anegdotach, a my skazani jesteśmy bez przerwy na studyowanie polityki. Jakkolwiek, jest to nader piękna potrawa dla naszego ducha, zdałoby się jednak czasem kawałek korniszona.

Humor to zdrowie i każdy przyzna, że dobrze jest czasem uśmiać się serdecznie. Zanim jednak na naszej niwie literackiej wykwitnie ten kwiatek co jak sądzę, prędzej przyjdzie do skutku niż projektowana kolej do Zakopanego, zanim znajdzie się poczciwy i szlachetny obywatel, który zechce stracić kilka tysięcy na ilustrowany humor poznański, zanim pojawi się pierwszy numer tego satyrycznego a mimo to bezstronnego pisma, ośmielę się wskazać moim czytelnikom, gdzie tymczasowo winni szukać humoru.

Jest w Warszawie pewien Jegomość, który jeżeli chce się zabawić, jak to mówią z „duchowym pożytkiem", nie bierze nigdy „Kolców" ani „Kuryjera Świątecznego" tylko „Rolę", nader poważny organ. — Czyta go popijając czarną kawę i bawi się wybornie. Z tego widzimy, że to co dla jednego jest poważne, jest dla drugiego zabawnem. Jeżeli nie wierzycie, idźcie do Teatru polskiego przekonacie się, że o ile aktor umierający na scenie wzruszy lub przejmie grozą publiczność w krzesłach, o tyle ją zabawi na galeryji. Dawno nie widziałem takiej uciechy jak podczas występów pana Bolesława. Co to był za pyszny figiel gdy sobie ten murzyn gardło podrzynał. Albo Król Lear wlokący Kordelję, po ziemi nie mówię już o scenie zamurowania Mazepy, bo tu radość przeszła w prawdziwy szał, tak że publiczność z krzeseł musiała sykaniem studzić ten zapał do sztuki. A przecież Leszczyński jest pierwszym polskim tragikiem. Widzimy więc że humor jest wszędzie, potrzeba tylko ludzi skłonnych do śmiechu. Karygodne zachowanie się górnych sfer podczas dramatu, czyjąż jest winą? Niewykształcenia. Nie mam tu na myśli wykształcenia ściśle filozoficznego lecz artystyczną dojrzałość. Dla czego publiczność galeryowa Warszawy, Lwowa, Krakowa a nawet i Łodzi. umie. się zachować?

Dlaczego w każdem z wyżej wspomnianych miast publiczność ma swoich ulubieńców, dla których chodzi do teatru. U nas nie ma tego zwyczaju. A przecież scena poznańska posiada wybitne talenta. Naprzykład pan Trapszo, pracujący z takiem zamiłowaniem dla sztuki, kóry dał nam tyle typów drgających życiem, prawdą i szczerością, tyle postaci pełnych zdrowego humoru, a zawsze bez szarży i przesady, zasługuje na to, aby nazwisko jego było siłą przyciągającą.

Cały błąd naszej publiczności polega na tem, że nie jest ona ciekawą wiedzieć idąc do teatru, czy gra tam ów Trapszo lub Sosnowski, Zimajerówna lub Wróblewska — ale czy Numa wyjdzie za Pompiliusza, jeśli to komedja, lub kto przeszkodzi temu szlachetnemu związkowi, jeśli to dramat. Jednem słowem fabuła czyli bajka gra tu najważniejszą rolę a publiczność jest panienką zaglądającą do ostatniej kartki romansu, aby się dowiedzieć „czy się dobrze kończy."

Ponieważ zawadziłem o teatr, nie mogę pominąć milczeniem sobotniego wznowienia „Górą nasi." — Krytykiem nie jestem, poczęści przez egoizm i wzgląd na moją wątrobę, którąby mi spuchła niezawodnie, już choćby dzięki życzeniom niezadowolonych, po drugie nie mogę odbierać chleba mojemu redaktorowi, do którego należy dział estrady i sceny." Wolno mi jednak mieć pr

nanie i głośno wyjawić, że „Górą nasi“ jest najlepszą komedyą Zalewskiego — wolno mi także ubolewać, że wznowioną była w czasie kiedy ojcowie uganiali się za drewnianemi konikami dla swoich aniołków, a mamy i ciocie przybrane w fartuszki nie chciały słuchać o tem co nie miało nic wspólnego z mąką, drożdżami, jajkami i cukrem. Ponieważ w komedyi powyższej autor nie zastanawia się wcale nad kwestyą koników drewnianych i drożdży, teatr świecił takiemi pustkami, jakich chyba nie było na żadnej sztuce, nawet „na ogólne żądanie“ dawanej. Garstka zbłąkanych, która zwiedziła w Sobotę przybytek Melpomeny, wyszła zadowoloną dzięki p. Zaleskiemu, Sosnowskiemu i Trapszy; porzucam na dziś ten temat i na zakończenie polecam Szanownym czytelnikom wierszyk, jaki mi wpadł przed kilku dniami do rąk. Utwór ten był wydrukowany na pierwszej stronnicy tutejszego jednego z najpoczytniejszych dzienników poznańskich. Posłuchajcie:

Rozkwitły kwiateczki,
Zabłysły gwiazdeczki.
Dwa oczy takie cudowne,
A w oczach tych grają,
A z ócz tych tryskają
Uczucia takie wymowne.

Opuszczam następną zwrotkę tego arcydzieła i przechodzę odrazu do 4tej, która opiewa.

Gwiazdeczki mrugają
Z żywego *bugaju*. (?)

O jakim bugaju autor myślał pozostanie dla mnie zawsze tajemnicą. Nie zapominajmy jednak, że koniec dzieło chwali, a więc:

I gwiazdki mrugały
Z młodzieńcem igrały
Wiaterek poszumiał lekki,
Porównanej płomieniem
Zawołał ze drżeniem
Gwiazdki wy moje na wieki.

Dla uzupełnienia muszę dodać, że okrzyk ten wydał *„podróżny, choć marzy ostróżny.“*

Miły Boże, niektórym rymorobom się wydaje, że licentia poetica jest rozgrzeszeniem dla wielkich błędów przeciwko językowi, a chociaż pismo dużemi literami drukuje: Uczmy dzieci czytać i pisać po polsku, darzy nas mimo to takiemi kwiatkami. Panowie poeci! wiadomo, czem dzisiaj błyszczeć winien każdy utwór literacki, w prasie stylem, a w wierszu formą.

„Licentia poetica“ dziś już nie rozgrzesza, na cóż i nam te kwiatki pozbawione myśli, stylu formy, a nawet ortografii, nareszcie co nas to obchodzi, że *„dwa“* oczy zachwyciły pana Bonawenturę. Cieszymy się bardzo, że *„podróżny — ostróżny* poprzestał tylko na „dwóch oczach“ a nie dał nam opisu gdzieby „dwie ręki“ lub „dwie nogi“ igrały z młodzieńcem. W końcu dodając, że takich rymów jak „mrugają“ i „bugaju“ (?) nie uwzględni nawet „licentia poetica“ życzymy panu autorowi, aby ten „wiaterek,“ który powiał przy igraszkach młodzieńczych ugasił na zawsze natchnienie i zerwał struny jego liry.

Ortog.

KRONIKA LITERACKA.

Ferdinand Tarroux. Letres sur le socialisme. Paris 1894, chez Fischbacher, str. IX i 396 in 8-o.

Autor stał się socyalistą, odkąd poznał niesprawiedliwość, sprzyjającą zawsze bogatym, na pokrzywdzenie biednych. Niema kwestyi socyalnych, jest tylko jedna, — zły stosunek pracy do kapitału. Nie rozstrzygną jej półśrodki, ulgi, drobne naprawy stosunków; socyalista pragnie społeczeństwa nowego aż do gruntu, innego typu, niż dzisiejsze. Myśl ta, wyrażona w przedmowie, robi wrażenie fundamentu, na którym ma być wzniesiona budowa rozumowań pana Tarroux, pod tym względem spotyka czytelników zawód.

Autor, rozejrzawszy się we współczesności i dziejach (zwłaszcza Kościoła), przekonał się, że socyalizm jest stary jak świat, bo „socyalizmem — powtarza autor za Proudhonem — jest każda dążność do udoskonalenia; ktokolwiek przyjmuje udział w tym powszechnym ruchu reformatorskim, bez względu na środki przezeń obrane, jest socyalistą.“ Ruchem socyalistycznym było wygnanie Tarkwinjusza z Rzymu, ustanowienie rzeczypospolitej, socyalizmem walka niewolników pod Spartakusem: Chrystus przyszedł na to, aby dać odrodzenie s p o ł e c z n e; za przewrót również społeczny trzeba uważać „sekularyzacyą społeczeństwa, dokonaną przez reformacyą Lutra“ itd. Co ciekawsza, ci nawet w naszej epoce, co walczą z socyalizmem, są działaczami socyalistycznemi. Są nimi katolicy, gdy zakładają kółka robotnicze, politycy, propagujący oświatę przymusową i bezpłatną, twórcy syndykatów robotniczych itp. O tych ostatnich autor powiada, że są przeznaczone na to, aby powiększyć w dwójnasób armią socyalistyczną, przez wciągnienie do niej robotników wiejskich.“ Z równą słusznością niejaki hr. de Roquigny w jednym z ostatnich numerów „Figara“ mógł wyrzec z powodu kongresu syndykatów rolnych w Lyonie, że 700—800 tysięcy rolników francuzkich, należących do tych syndykatów „sont vraiment les soldats d'une ligue a n t i s o c y a l i s t e“. Bałamuctwo wynika ztąd, że Tarroux układa zjawiska społeczne na jednym planie, przypisując wszystkim znaczenie działaczy s o c y a l i s t y c z n y c h. Ta sama wada wzroku, gdy patrzy w przeszłość; upatrywanie w Rzymie lub nauce Jezusa socyalizmu grzeszy t. zw. automorfizmem. Królestwo Jezusa było nie z tego świata: ideał ptaków niebieskich, które nie orzą nie sieją, nie ma nic wspólnego z idealem p r a c y, jako podstawy społeczeństwa socyalistycznego. Do ciekawszych rozdziałów książki należy krytyka stosunków Kościoła do życia społecznego, np. rozdział: „Biedni a Kościół“. Nawet w t. zw. socyaliźmie chrześciańskim spostrzega autor brak jednej rzeczy idei sprawiedliwości, zastępowanej bezecnie ideą miłosierdzia. W kolektywiźmie widzi Tarroux utopię, która doprowadza w rezultacie do socyalizmu państwowego i kosmopolityzmu. „Kolektywizm musi dojść do wywłaszczenia powszechnego. Lecz w czyjem imieniu i przez kogo będzie ono uskutecznione, według jakiego prawa? Cóż to jest państwo? Cień, cień przemijającej woli powszechnej. Co to jest prawo? Forma tego cienia. Nic mnie tak nie przestrasza w kolektywiźmie, jak ta konieczność, do której on dochodzi nie tyle przez logikę idei, ile przez nieprzepartą logikę faktów; jest to system *tabula rasa...*“ Autor nie wierzy, aby na gruzach dzisiejszego mogło powstać społeczeństwo tak nowe, aby nie zostało w niem nic z przesądów, instynktów, idei społeczeństwa starego. Kolektywizm z natury swojej jest niepodzielny, niemożliwy od cząstkowego przeprowadzenia. „Wszystko, coby zostało po społeczeństwie starem, byłoby protestem przeciwko gwałtom kolektywizmu, potężną dźwignią dla przywrócenia do życia instytucyi starych“. Drugą połowę książkę poświęcił Tarroux na wykład swego systemu, który, „jeżeli nie ma wiele wspólnego z socyalizmem chrześciańskim, to, być może, jest w porównaniu z nim, bardziej ewangelicznym“. Nie owijając w bawełnę autor z góry zapowiada, że jego społeczeństwo spoczywa na dwóch prawach pierwotnych! „miłość Boga i miłość bliźniego, ukształtowana na wzór rodziny — z pracą, jako obowiązkiem wspólnym wszystkich jej członków.“ Jest to socyalizm, złożony całkowicie „ze sprawiedliwości i pokoju; jego panowanie zbliżać się będzie w miarę rozwoju uczuć religijnych w społeczeństwie. Jego działalność reformatorska ma za przedmiot przedewszystkiem stosunki polityczne społeczeństwa, od którego — wedle autora — wszystkie inne funkcye społeczne zawisły. Cały więc system Tarroux polega na projektach nowych konstytucyi, zmian w prawodawstwie, reform legalnych, możliwych do przeprowadzenia w drodze parlamentarnej. Własność indywidualna pozostaje nadal: nowy budynek społeczny skorzysta ze starych fundamentów.

Z. W.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Kapitan Dreyfus skazany został na dożywotną deportacyą do Nowej Kaledonii i publiczne zdarcie epoletów na esplanadzie inwalidów. Proces byłby się zakończył niezawodnie wyrokiem śmierci, gdyby nie ustawa z r. 1848 dozwalająca tych tylko życia pozbawiać, którzy na polu bitwy kraj swój zdradzają. Z powodu sprawy Dreyfusa przyszło w izbie do gwałtownych zaburzeń. — Jenerał-gubernator Hurko wyjechał już z Warszawy za granicę. Miejsce jego zajmie hr. Szuwałow. — Według najnowszych doniesień znajduje się wśród papierów Giolittego, zniesławiających prezesa włoskiego gabinetu, wiele dokumentów sfałszowanych. — „Freis Ztg.“ donosi, że ks. Hohenlohe nie utrzyma się długo na stanowisku kanclerza, a następcą jego będzie hr. Eulenburg. — Heca antipolską urządzona przez spółkę K. H. T. trwa w dalszym ciągu. Organ szowinistycznego związku „Alldeutsche Blätter“ zażądał niedawno, aby rząd pruski wzorem rządu rosyjskiego zabronił Polakom nabywania ziemi.

Teatr i muzyka. W ubiegły czwartek wznowiono w teatrze poznańskim na benefis p. Knapczyńskiego wesołą krotochwilę Mosera p. t. „Wojna w czasie pokoju.“ Artyści nasi wywiązali się z zadań swoich ku ogólnemu zadowoleniu, a na szczególne uznanie zasługują p. p. Knapczyński, Trapszo, Jakubowski i Sosnowski, oraz panie Zimajer i Trapszowa. — W przyszły czwartek odegrają artyści poznańscy na benefis panny Eweliny Wróblewskiej „Hrabinę Sarę“ Ohneta. Przedstawienie to polecamy gorąco czytelnikom naszym przez wzgląd na utalentowaną beneficyantkę, która świetną grą swoją w „Irenie“ złożyła wymowny dowód prawdziwych zdolności dramatycznych. — Pani Adolfina Zimajer, bawiąca chwilowo w Poznaniu, zapadła nieco na zdrowiu. Dowiadujemy się jednak że niedyspozycya minęła, dzięki troskliwej opiece lekarskiej, a sympatyczna artystka już w przyszłym tygodniu wyjeżdża na szereg przedstawień do Rosyi. Od marca r. 1895 przyjęła pani Zimajer stałe engagement we Lwowie. — Na konkursie muzycznym w Brukseli otrzymał p. M. Borkowski za waryacye na temat orginalny i za „Benedictus“ na chór i orkiestrę zaszczytne wzmianki. — Najnowszą sztuką Gerolama Rovetty jest dramat „La Baraonda“, osnuty na tle ostatnich skandalów bankowych we Włoszech. — Ferdynand Martini b. minister oświaty napisał dramat „La vipera“, który zyskał w Turynie wielkie powodzenie. — W teatrze paryzkim „l'Oeuvre“ wystawiono dramat Strindberga p. t. „Ojciec“. Krytyka wyraża się nader pochlebnie o ponurym utworze szwedzkiego poety. — W Lublinie występuje gościnnie warszawski artysta Mieczysław Frenkiel.

„Goniec Wielkopolski“ wydał nader urozmaicony i obfity numer gwiazdkowy.

Lwowski „Przegląd emigracyjny“ zamienił się od nowego roku na **„Przegląd Wszechświatowy“**. Według zapowiedzi prospektowej stanie się to pismo wyrazem kulturnej łączności i jedności narodowej wszystkich dzielnic i plemiennych odłamów polskich na kuli ziemskiej, bez względu na przynależność państwową i historyczne tradycye. Lwowskim kolegom przesyłamy staropolskie „Szczęść Boże.“

Z m a r l i :

Robert Ludwik Stevenson, jeden z najpopularniejszych powieściopisarzy angielskich, zm. na Samoa.

Stanisław Kalckreuth, wybitny malarz niemiecki, zm. w Monachium.

Jul. Alsleben, wybitny pianista wiedeński, zm. 8 grudnia w Wiedniu.

Odpowiedzi Redakcyi.

Wielkopolanka. Projekt ten uważamy za rozumny. Zajmiemy się nim w najbliższym czasie.

Witold z Poznania. Prosimy pofatygować się do redakcyi w celu bliższego porozumienia.

Karol T. Polecamy wydanie Biegeleisena. Jest to najlepsze opracowanie dzieł Słowackiego, jakie literatura polska posiada. Książka Małeckiego posiada wybitne zalety, ale od czasów jej wydania studya nad Słowackim znacznie postąpiły.

A. A. Zasięgniemy wiadomości u naszego korespondenta krakowskiego i odpowiemy listownie.

Składki.

Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożyli:

Leon Szczawiński 10 Mr.
Ogółem zebraliśmy dotychczas 675,75 Mr.
O dalsze składki prosimy gorąco.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Józef Sąchocki w Poznaniu. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.